



ODWRÓT WIELKIEJ ARMII

B. WERESZCZAGIN

## Trakt Napoleoński.

„Soldats! La seconde guerre de Pologne est commencée... La Russie est entraînée par la fatalité. Ses destins doivent s'accomplir.”

Napoleon do armii swojej, przekraczającej Niemen w czerwcu 1812 r.

### I. DAWNIEJ I DZIŚ...

Jest na Litwie stary, odwieczny trakt, co stanowił przez całe stulecia główny szlak komunikacyjny między Wilnem, leżącym ongi jakby na rubieży środkowej Europy, a dalekim moskiewskim Wschodem kontynentu europejskiego.

Wytknęły go, juści, ręce ludzkie, szeroko rozbiły i brzoź podwójnym lampasem zabezpieczyły od tonięcia w śniegach, to znowu w nieznośnej spiekocie letniej—ale ów szlak, na wieki wieczne pamiętny, ubiły, by tak rzec, dzieje, przewalając się po nim z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, jak ruch nieustanny wydarzeń, kształtujących niepospolite dzieje ogromnego kraju.

Na pozor—ot!—trakt, jak widać, znaczny, gdyż rozmięłyby się na nim gładko choćby dwie pary landar staroświeckich, niechybnie niegdyś „pocztowy”, ale—ale małoż to dziś tu i owdzie „traktów pocztowych”... dogorywał! Stare *vestigia temporis acti*, na które gwizdzą dzisiejsze bystrołotne a wygodne koleje. Stare widownie nie ludzkich udreżeń, piachów i wertepów, gór i grud, mostów dziurawych i długich, długich godzin nudy, wlokącej się, jak zmęczone konie, pchające się zwolna naprzód u dyszla ciężkiej, rozkolatannej bryki...

Stary, zapomniany, o powykruszanych brzożach „pocztowy gościniec”, jak się mówi w stronach rodzinnych króla Jagielly, Kościuszki i Mickiewicza. Coż ciekawego? A niechże leży sobie i trwa do czasu! „Zjadła” go kolej żelazna Libawo-Romeńska, co poszła niemal równolegle do

starego traktu i ściągnęła zeń na szyny swoje wszystkie ruch. Stary gościniec pocztowy! A któżby się tam dziś tłukł po nim! Hej, hej!... partykularną stał się drożką; z etatu spadł; zdegradowany został; trwa już tylko „z łaski”, dla wygody ot tej „kałamaszki” chłopskiej, ciągnącej się, jak mucha mizerna, po wielkopańskiej ongi drodze, której zabrakło jaśnie panów. Szerokim pasem puściła się trawka po obu stronach gościńca i nikt jej nie rozjedzie, bo drogi dość, aż nadto dość dla rzadkich przejezdnych, dla „furmanek” ze zbożem lub drzewem, dla jakiegoś szlachciury, pchającego się o jedynym koniu z zaścianka do zaścianka lub na „kiermasz” do miasteczka.

A jednak ten sponiewierany, pozostawiony na Bożej łasce, gdzieś tam już tylko gęściej ogromnemi brzożami szumiący wielki trakt pocztowy, łączący Mińsk, względnie niegdyś Moskwę, z Wilnem to... ruina, czyliż nie równie pełna wspomnień i nastrojów, jak niejedne, słynące u świata malownicze zwaliska! I czyliż ty, odwieczny trakcie, jeden z najpamiętniejszych, nie masz tak dobrze własnych dziejów swoich, jak niejedne kasztel lub zamek, starannie przechowywany bynajmniej nie tylko dla piękności swych architektonicznych, ale jako relikwia z czasów—co nigdy, nigdy już nie wrócą?

I ty, stary trakcie, takiś jest milczący na pozor, jak każda ruina. Wiesz ty wiele i pamiętasz— a milczysz. Milczysz. Komużbyś ty dziś co opowiadał szumem swoich starych brzoż, tu i owdzie pobitych piorunami? Komuż ty zakłębisz się kurzawą, układającą się przedziwnie w duchów korowody? Któż dziś szlakiem twoim—nikomu niepotrzebnym—powlecze się, nie sarkając na piachy, wyboje i nudę, lecz owszem, rad, że może puścić wodze myślom wzdłuż pasma twego, wijącego się falistym gruntem w dal, ku Wilnu, a puścić je po całej okolicznej ziemi, tak pełnej wspomnień i pamiętek? Temu

dziwakowi-włóczędze ty, stary trakcie, opowiesz dzieje swoje...

Wzorzyste to dzieje, pełne szczęku i brzęku, migotania i błasku, huku burz i błyskania błyskawic

Tędy to, okrążywszy Wilno lub trzymając je w szachu znaczną siłą, parło się dawno, dawno temu, zuchwałę Krzyżactwo w głąb dzielnic Litwy Olgierdowej i tędy cofało się w popłochu z krwawych pobojowisk napowrót na leże swoje. Tędy przybyła z Moskwy na tron wielkoksiążęcy wileński dostojna zakładniczka zgody i przyjaźni między Moskwą a Wilnem, narzeczona Aleksandra Jagiellończyka, spotykana uroczyście w podwileńskiej Niemieży. Tędy w półtora lat potem, za nieszczęsnego panowania Jana Kazimierza, wylały się na Litwę wojska cara moskiewskiego, pustosząc kraj po Wilno i dalej. Po starym tym, wieczystym, zda się, jak sama przyroda, trakcie historycznym manewrowały pułki i szwadrony kościuszkowskie, usiłując przebić obręcz żelazną, opasującą Wilno. U traktu tego: Miedniki, zwane „królewskimi”, z wielkim, ocalałym cudem do dziś dnia czworobokiem ruin zamku, w którym przebywał Olgierd a gościł raz—nieproszony!—wielki mistrz krzyżacki Konrad Zollner von Rothenstein, gdzie potem wychowywał się król Kazimierz święty pod dozorem Długosza i gdzie życia dokonał. U traktu tego lato spędzał w Kamiennym Lohu Piotr Skarga, a w Rukojniach żył i zamknął na zawsze powieki jeden z najzasłużeńszych obywateli kraju, Paweł Ksawery Brzostowski, referendarz litewski. U tego traktu powstały w Zalesiu „polonezy” Ogińskiego a w Bo-rejkowszczyźnie najcudniejsze strofy Syrokomli. U tego traktu, w karczmic, Krzyżówką zwanej, na tradycyjnym popasie, trzy mile od Oszmiany a cztery od Wilna, pojmany został w r. 1838 Konarski...

I wszystko to, wszystko, a i wiele jeszcze, wiele, przeciągnęło szlakiem tym, jak mgły poranko-



REWIA NOCNA

AUGUST RAFFET

we, jak mgły o zmierzchu i jak mgły—rozwiał się wszystko, zczeszło, przepadło.

I wciąż hulają zamiecie śnieżne po starym, zapomnianym trakcie; wciąż, gdy przyjdzie lato, w słonecznych blaskach stoi; wciąż to zielenią się, to złocą wzdłuż jego wstęgi „pola zasiane zbożem rozmaitem”... Jeny cisza—wielka cisza zalega dokoła. Czasem skrzyźnie koło kałamaszki lub, zerwawszy się z brzozy, ptak czarny, ciężko lecąc, skrzydłami załopocze.

Lasy, przepyszne, głębokie lasy litewskie ciągnęły się ongi milami całymi wzdłuż traktu, osobliwie na najbardziej „historycznej” jego przestrzeni, między Mołodecznem a Wilnem. Dziś niema ich. Gdzieś tam tylko, pod wielkopańskim jeszcze do dziś dnia Zalesiem ostały się ich resztki. Lasy też, jak czasy dawne, poschodziły z widowni. Jak czasy dawne, barbarzyńsko powyrębywane.

Goły leży trakt sędziwy na ogromnej przestrzeni. Im bliżej Wilna, tem rzadsze sterczą oszywające go brzozy, znaczące bieg szlaku. Leży niefknięty, w całej swej szerokości—jak przed wiekami. Tam, w głębi ziemi, pod wstęgą starego traktu, może nie przestały jeszcze rozbrzmiewać tętent kopyt... Lecz my już nie słyszemy tego dalekiego, podziemnego, zamierającego grania echi.

Cisza, przejmująca do głębi cisza.

Dziesiątek wiorst starego traktu wzięto niedawno pod szosę, gdy z Oszmiany *via* Żuprany uczyniono „zachodnio-europejską” komunikację mię-

dzy miastem powiatowem a stacją Soly kolei żelaznej. Dziesiątek wiorst starego traktu zmodernizowano, ani słowa... Szparciej lecą bryczki pocztowe, suną się żwawo „dylizanse” z całym mrowiem wędrownego Izraela, wozy, suto wyładowane, wożą tam i z powrotem „towary”; próbowano już nawet, jak słyszę, puścić automobil dla wygody „pasażerów”, jadących z kolci... Ruch! Ale może dobrze się stało, że tylko na dziesięciu-jedenastu wiorstach zakłócono spokój starej, sfatygowanej drodzy. I że zatarto tylko na nieznacznej przestrzeni sporo jej charakteru, jej typu...

Dawne stacje pocztowe, oczywiście, poznikaly bez śladu. Któżby dziś włókl się pocztą, mając komunikację kolejową, równoległą: Wilno-Mińsk! Tylko ze Smorgoń, dziś znacznego ogniska fabrycznego, zwanego nawet z emfazą litewskim Manchesterem, dla uniknięcia przesiadań się z wagonu na bryczkę, jeżdżą dziś jeszcze ci i owi prosto do Oszmiany, do powiatowego miasta—pocztą. Na tej właśnie przestrzeni trakt wcale jeszcze bujnie olamowany podwójnym szpalerem brzoź, mosty do znacznego stopnia pewne... Jedziesz—„obcujesz z przyrodą” lub dobrą sanna, nakiwawszy „jemszczykowi”, puszczasz się (we własnej wyobraźni) z wichrem w zawody... W takt bije dzwonek pęknięty... Biję w ciszę — w ciszę latem, w ciszę zimą... Konie biegają same... Woźnica śpi na zabój. Wymijać nie ma kogo.

Podnieś głowę, podróżny człowiecze! W górę,

w górę!—i pilnie rozejrzyj się po niebie. Popatrz, czy nie ujrysz czasem... orłów, co, jak wieść niesie, tedy właśnie, traktem tym leciały. Jeśli zaś ich nie dostrzeżesz, nie poczytuj siebie za bajbardzo. Orły to były „napoleońskie” i dostrzedz ich już tylko można — oczyma duszy.

Tak! Na tym pamiątkowym zabytku ogromnej przestrzeni czasu, na trakcie tym cyfrę swoją położył na ostatek sam Napoleon Bonaparte, gdy, dokonawszy zajęcia Moskwy a nie zwyciężywszy Rosyi, w tragicznym odwrócie swoim „dwunastego roku”, po niebywalej katastrofie na Berezynie, dopadł w Mołodecznem wielkiego traktu i popędził nim sam ku Wilnu i dalej, a w ślad za nim tymże traktem pobiegła okostniała na mrozie straszliwym, jak widm przerażających tłum, zmasakrowana jego armia, nie armia, świta, nie świta, jakiej świat nie widział. Armia? Świta? Nie. To za pędzącym do Paryża Napoleonem tu, po tym trakcie, gonila upiorna tłuszcza—Eumeid. Wyjąc i okrwawionemi wymachując łachmanami...

I tych kilkanaście dni grudniowych przeciągania epopei napoleońskiej traktem na zawsze historycznym, od Mołodeczna do Wilna, przypieczetowało niejako wszystko to, czego w ciągu wieków widownią był i ten szlak i ten kraj. I kraj na wieki wieczne przepojony został, jak murawa rosą, wspomnieniami napoleońskimi, a szlak „napoleońskim” poczęł zwać się traktem.

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

## Czy kinematograf profanuje dzieło sztuki?

Pytanie powyższe powstało wskutek wprowadzenia do kinematografu „Sędziów” Wyspiańskiego. Nadto jest ono aktualne z powodu dalszych w tym kierunku zamierzeń, podjętych przez grono naszych artystów dramatycznych.

Niewątpliwie poecie czy powieściopisarzowi, któremu kinematograf odbiera z konieczności najistotniejszy składnik jego dzieła, *słowo*, dzieje się krzywda. Mogliśmy się przekonać o tem aż nadto dobrze na przedstawieniach kinematograficznych „Dziejów grzechu”, które raziły jaskrawością obrazów, nie komentowanych przez artystę jego głębokimi refleksjami. Podobnie dzieje się i dzieć się będzie z każdym utworem sztuki, opartej na słowie. Dramat, któremu odjęta zostanie moc bezpośredniego działania na widzów za pomocą żywego słowa, przekształci się w szereg niemych obrazów, które mogą nawet stać się zupełnie niezrozumiałymi dla widza.

Dla związania tych obrazów wypadnie tedy używać nowych, dodatkowych obrazów, które uwydatniłyby myśl autora. To ostatnie zaś jest już eksperymentem ryzykownym i dla dzieła sztuki często szkodliwym.

Ale poza krzywdą, jaka w tym wypadku musi się dzieć każdemu autorowi, istnieją jeszcze inne strony tej samej kwestyi, którym warto przyjrzeć się bliżej.

Przedewszystkiem, kinematograf, aczkolwiek nie zastąpi nigdy teatru, może przyczynić się i niewątpliwie przyczynia się do popularyzowania sztuki w szerokich warstwach społecznych.

Przy rozumnym kierownictwie posiada on znaczenie pedagogiczne, dotychczas jeszcze mało wyzyskane. Przedstawienia kinematograficzne oparte są dzisiaj na filmach, reprodukujących obrazy, rzadko tylko mające związek ze sztuką. Otóż wprowadzenie do kinematografu sztuki w jakiegokolwiek postaci nie jest rzeczą do pogardzenia.

Tłum wielkomięski głodny jest widowiska i wróżen. Głód ten wzrasta nieustannie i wymaga zaspokojenia.

Za granicą za pomocą kinematografu spopularyzowano już cały szereg arcydzieł literatury, które w innej formie nie dotarłyby może nigdy do warstw t. zw. szerokich. Dość wymienić *Boską komedię* lub *Jerozolimę wyzwoloną*, które w książkach są i będą długo jeszcze dostępne tylko dla wybranych. Tymczasem tłum, który nie rozumie głębi myślowej Dantę, ani nie potrafi zachwycać się płynnością jego tercyn, który z Tassesem nie mógłby obcować ani godzinny, chętnie patrzy na obrazy, stworzone przez wyobraźnię wielkich poetów i, bądź co bądź, wchodzi w sferę ich wpływów. Zadzierną się tu pierwszy węzeł pomiędzy nim a poetą, węzeł, który musi się stopniowo utrwalac, aż wreszcie doprowadzi do odczucia potrzeby bezpośredniego obcowania z dziełami mistrzów.

Podobnie u nas są jeszcze miliony Polaków, dla których nie istnieje ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński, ani Wyspiański i t. d.

Gdybyśmy mieli w Warszawie wielki teatr ludowy, a w całym kraju mogli urządzać po miasteczkach i wsiach przedstawienia dla mas, wówczas można by powieścić przedsiębiorstwom kinematograficznym: „nie wchodźcie w drogę teatrowi, nie współzawodniczcie z nim, on bowiem niesie pochodnię kultury i zapala ją w najciemniejszych kątach”.

Ale do tego przecież bardzo daleko. Możemy więc z najczystszym sumieniem przystać na to, aby kinematografy popularyzowały stopniowo arcydzieła naszej literatury, choćby wszystkie, z warunkiem jedynie, aby czyniły to nie w pogoni za sensacją, jak było z „Dziejami grzechu”, ale z troską o utrzymanie reprodukcji na poziomie tej sztuki, jaka leży w granicach możliwości kinematograficznej. A skoro „Sędziowie” próbę tę wytrzymują, niech idą z miastem do miasta mówić tłumom o Wyspiańskim.

Z. D.

## Trakt Napoleoński.

### II. NA ZAKRĘCIE DZIEJOWYM.

Plan kampanii rosyjskiej Napoleona był tak prosty, jak ogromną była widownia, na której ów plan miał być urzeczywistniony. Trzykroć stotysięczna armia główna miała, przekroczywszy Niemen, rozbić kolejno centrum oraz oba skrzydła linii obronnej rosyjskiej, rozciągniętej nieopatrnie od Rosien na Żmudzi do Łucka na Wołyniu, a następnie wzmocniona jeszcze przybyłymi rezerwami, o sile przeszło dwustu tysięcy ludzi, ruszyć na Moskwę, zdobyć ją i dokonać zdania się Rosyi na łaskę i niełaskę... ostatniego z wielkich, nadludzkich zdobywców świata!

Naówczas miało ze wszystkich krajów i państw Europy powstać nowe Imperium Romanum, kolosalniejsze nawet, niż starożytnych cesarów. I miało rozrastać się dalej po kontynencie najpierw Azji ziemierzonej—aż, objawszy amerykańskie lądy i morza, miały granice wschodnie imperyum napoleońskiego zbiedz się z granicami zachodniemi—nad Sekwaną! Opasany zostałby glob ziemski i spięta kłamra wszechświatowego panowania wszechmocną dłoń władcy świata.

Z mirażem tym bajecznym przed oczyma ruszył Napoleon w maju 1812-go roku z Paryża przez Drezno i Poznań na linię bojową, aby—skinąć. Przybył i dał znak. Na znak ten olbrzymie masy armii najeźdźczej drgnęły, rozkolysały się, chrzęstem ogromnym szczyknęły i posunęły się naprzód. Miało się już ku końcowi czerwca. Stojący kwatery w Wilnie cesarz Aleksander, mający za sobą zaledwie 120.000 wojska pod komendą Barclaya de Tolly, 37.000 pod Bagrationem i 46.000 Tormasowa, posłał do Napoleona swego adjutanta, proponując zażegnanie rozlewu krwi układami pokojowymi. Napoleon odpisał cesarzowi: „Sam Bóg nie odrobi tego, co się stało!”

Cesarz Aleksander odjechał z Wilna do Świącian a stamtąd do Moskwy, gdzie stanął w końcu lipca; zabawił dni ośm i wrócił do Petersburga. Tymczasem, w miarę posuwania się naprzód armii napoleońskiej, cała linia wojsk rosyjskich jęła cofać się w głąb kraju...

I oto Napoleon jest już własną osobą w Witebsku. Dobra poleć Rosyi zachodniej zdobyta. Ryga wzięta i opiera się o nią lewe skrzydło armii; centr linii bojowej w Witebsku, Davout z pierwszym korpusem w Orszy, a Poniatowski w Mohylowie. Z tyłu: wielkie magazyny z nagromadzonymi prowiantami i amunicją w Gdańsku, Wilnie, Mińsku zasilają prawidłowo armię, a książę Bassano rezyduje w Wilnie w charakterze cesarskiego wielkorządcy Litwy, otoczony dworem iście monarszym, komunikuje pełnomocnikom państw europejskich rozkazy, otrzymywane od Napoleona, i czuwa nad potrzebami wojsk na linii bojowej, wzmacniając je wciąż posiłkami nadążających nieustannie rezerw. Przed linią bojową—manewrujące nieudolnie wojska rosyjskie, bez naczelnego wodza, którym dopiero ma zostać Kutuzow, „stary lis Północy”, planowo tylko cofające się, cofające—na Moskwę. Do walnej rozprawy nie przyszło. Upragnione wielkie zwycięstwo, mające oszłomić raz jeszcze świat—nie odniesione. Rozstrzygająca wielka wygrana bitwa nie uczyniła jeszcze... zbyt czynnym tryumfalnego wjazdu do Moskwy. Do Moskwy! Warta gra takiego momentu. Cesarz Napoleon lubi mieć w swoim życiu chwile upajającej apoteozy...

Teraz jednak ma przed sobą nie tylko zmiatające z pola, wyzywające pościg „hordy” Barclaya de Tolly. Ma przed sobą długą drogę do Moskwy o brzasku już jesieni. A czy starczy jesieni dla dokonania pełnego dzieła? Zima... Podbiegunowy kraj!... A tam za sobą zostawił cesarz Hiszpanię—nie zdobytą jeszcze, i Prusy—niepewne i Austryę

zdradliwą. I czy nie poprzestać na razie na tem, co się dokonało? Jednym pociągnięciem pióra można wskrzesić Polskę samodzielną—ogromną. I położyć ją na progu Rosyi, jako granitowy zadatek przyszłych podbojów dalszych. Natenczas ten cały bogaty kraj, świeżo zajęty, da znakomite leże dla najogromniejszej nawet armii choćby przez siedm długich miesięcy najcięższej zimy. A gdy znów wiosna się ukaze, znajdzie się ta armia znów na progu Rosyi. Wypoczęta, silna, niezwyciężona! I dokona się—reszty. Jeżeli wogóle odważy się cesarz Aleksander patrzeć przez zimę całą na taką potęgę, wyczekującą u granic jego państwa na—słońce wiosenne. Tylko na wiosenne słońce!

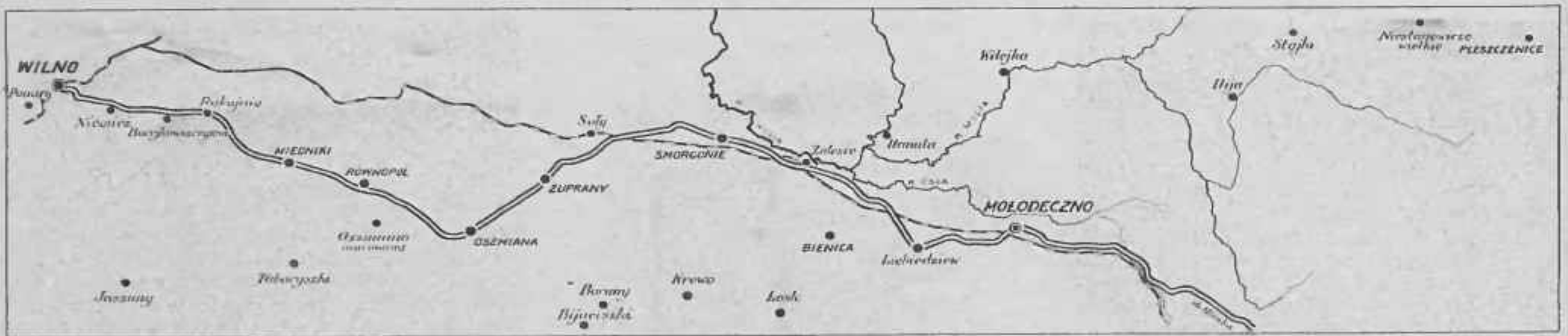
Faktem jest, że Napoleon, zajmując Witebsk, chciał przerwać kampanię i zazimować z całą armią swoją na Litwie i Białej Rusi. Pod groźbą natychmiastowego ruszenia się naprzód, skłaniałby ku woli swej Aleksandra I. Zorganizowałby wskrzeszoną Polskę. Dwór arcymonarszy miałby *in partibus*, w Witebsku. Rządziłby Europą z Witebska. Czasowo. Nie nowina dla niego rządzić dłużej lub krócej Europą z obozowego biwaku! Z Witebska uczyniłby w lot ogromny, jakiego świat nie widział, obóz ufortyfikowany. Sprowadziłby z Paryża do Witebska artystów Komedyi Francuskiej... Ambasadorem dawałby audyencye... Jak w Tuileriach, St. Cloud lub w każdej innej rezydencji swojej.

Dyktował taki plan—rozum. Obalił ów plan temperament zdobywcy. Na „martwej” linii Ryga-Witebsk-Mohylów wytrwał Napoleon zaledwie dni czternaście. Zarządzenia poczynił dla siedmiomiesięcznego popasu; kazał nawet zbic kamienice, „zasłaniające” witebski „pałac cesarski”, aby nawet witebska rezydencya imperatora prezentowała się jak najokazalej. I nie wytrzymał. Rwało go ku Moskwie. Bezczyność nie dawała mu spokoju. Po czternastu dniach walki wewnętrznej i debatów z generałami, po czternastu dniach gorączkowego oczekiwania na „znak życia” ze strony cesarza Aleksandra, na ponowne propozycje pokojowe, Napoleon zdecydował się: iść dalej! Dalej... dalej... ku rozwiązaniu olbrzymiej imprezy! Na poranku 10-go sierpnia na rozkaz naczelnego wodza, dany z Witebska, podniosły się orły napoleońskie od Rygi do Mohylowa i, przodując niezliczonym wojskom wszelkiej broni, popłynęły zwolna naprzód...

Rubikonem kampanii 1812-go roku nie był Niemen, była nim Dźwina.

Dopiero przekroczywszy Dźwinę, wszedł Napoleon na fatalny zakręt dziejowy, co miał niebawem w spalonej i zdewastowanej Moskwie dać zwrot—dalej epopei napoleońskiej. Ze szczytów ku katastrofom tragicznego finału.

I stało się, co stać się musiało. Nieodbudowana Polska zamigotała, błysła i zgasła i rozpadła się, jak cały unitarny system Europy, stworzony nie przez wytrawnego polityka, tylko przez genialny umysł militarny. Namietność wojskowa skruszyła nawet tak wzorowe organizacje... geograficzne, jak napoleońskie. Namietność wojskowa zagnała Napoleona do Moskwy, gdzie jego zacięty opór rozbił się o zaciętość cesarza Aleksandra, sekundowaną znakomicie przez mrozy 30 stopniowe i przez „chłopski rozum” Kutuzowa. To, czego się nie zrobiło w Witebsku, nie było już sposobu uczynić w Moskwie. O spędzeniu zimy w Moskwie i mowy być nie mogło. Trzeba było dać hasło odwrotu. A namietność wojskowa, której Francya pozwoliła opanować siebie i w której oszłomieniu poddała się z niebyswałym entuzjazmem Napoleonowi, zaczęła już powoli wygasać. I w samym cesarzu Francuzów i, co fatalniejsze, we Francyi samej. Francyi zaczął już ciążyć—despotyzm, cięższy, niż autokratyzm przedrewolucyjnych Burbonów. Po opuszczeniu Moskwy raz jeszcze furor wojskowy „boga wojny” cisnął piorunem i rozpałił się pod Małym Jarosławcem; ale już odtąd



MAPKA SCHEMATYCZNA TRAKTU „NAPOLEONSKIEGO” OD MOŁODECZNA DO WILNA.

odwrót cały jest jednym wielkim, rozpaczem wy-dostawianiem się z grozą przejmujących tarapatów. Napoleon sam ma już tylko jedną myśl: zlikwidować, zlikwidować co rychlej fatalną imprezę. Mniejsza już teraz: stracił więcej lub mniej! Niech tam szczątki rozbitej armii, obłamki zdruzgotanego narzędzia, topią się z kretelem w śniegach i wertepach „przeklętego kraju”. Ratować trzeba jedno tylko już teraz: przyszłość! Przyszłość władzy, panowania i—Francji.

Trzeba cesarzowi wracać co tchu—do Paryża. Niech się łamią mosty na Berezynie pod tłumami rozbitków, skazanych tak lub owak na zagładę. Byle wyrwał się cesarz z tej matni i przybył do Paryża—w porę jeszcze!

Pędzi. A okrutnymi bezdrożami, a krajem spustoszonej. Byle co rychlej dobiec się do stron „przyjaźniejszych”; byle wydostać się na trakt wi-

Mołodeczna przed oddziałami wojsk rosyjskich, manewrujących nieustannie po szerokiej wkrąg okolicy, zwała się awangarda, a tuż za nią gwardya, eskortująca cesarza, do Mołodeczna. Licha, mała miejscina, ale na trakcie, na wielkim trakcie wileńskim!

Opodal miasteczka pałac mołodeczański, rezydencya dóbr ks. Michała Ogińskiego, pustką stoi. Książę Michał, były podskarbi—daleko. W Petersburgu bawi i wspólnie z ks. Lubeckim i Wawrzeckim pomaga sekretarzowi stanu, Szyszakowowi, redagować ukaz cesarski, dający pełną amnestyę Polakom, skompromitowanym podczas zajęcia Litwy i Białej Rusi przez armię napoleońską... I podczas gdy były podskarbi konferuje z Szyszakowem, składa memoriały cesarzowi Aleksandrowi i raz po raz dopuszczany jest do bezpośredniego komunikowania się z monarchą rosyjskim—Napoleon rozkwa-

## Z postępów nauki polskiej.

### NOWA PLACÓWKA.

Niejednokrotnie stwierdzono już, że zarówno w życiu naszym społecznym, jak i umysłowym, najważniejszą odgrywa rolę inicjatywa prywatna. Jej zawdzięczamy niemal to wszystko, co powstało w ostatnich czasach. Ona też stała się dzisiaj najpotężniejszym mecenasem nauki polskiej. Dzięki niej powstały i powstają wciąż nowe placówki, gdzie myśl badawcza spokojnie może znaleźć refugium.

W ostatnich latach mieliśmy tego liczne dowody, które składali nie tylko ludzie zasobni, ale i ci, którzy, skromnymi stosunkowo rozporządzając środkami, nie zawahali się nieraz poświęcić wiele dla przyszłości nauki polskiej.

Nie więc dziwnego, że lata ostatnie zdają się zapowiadać piękną kartę w dziejach naszej myśli naukowej. Coraz to częściej zaczyna ona zdobywać warsztaty i narzędzia pracy, które przy współczesnym rozwoju badań doświadczalnych stanowią nieraz wprost o jej bycie.

I w tej kronice, tak ważnej dla naszej przyszłości, dla naszego rozwoju, nowy mamy fakt do zanotowania.

Oto p. Władysław Szaniawski w majątku swym Przegalinie (gub. siedlecka, pow. radzyński) zupełnie samodzielnie, własnymi tylko posilkując się środkami, założył nowe obserwatorium astronomiczne.

Jest to dzieło wielu wysiłków. P. Szaniawski postanowienie swoje przeprowadził z wielkim trudem i poświęceniem, gromadząc przez wiele lat środki potrzebne na założenie instytucji tak doniosłej.

W ostatnich czasach astronomia posuwa się ciągle naprzód. Jako nauka specjalna, daleka jest od owego „flamaronizmu”, pod którego kątem zwykły na nią patrzeć warstwy szerokie; jest to raczej badanie, które opiera się głównie na obserwacji ciał i zjawisk niebieskich, jako też na zastosowaniu precyzyjnych narzędzi mierniczych i ścisłego rachunku. Jej



MOŁODECZNO. Fot. Czesław Jankowski w sierpniu 1911 roku.

leński!... Wilno!... Wilno!... Świadczenia współczesne jednoznaczne są w malowaniu gwałtownego parcia się całej w odwrocie rozbitej armii napoleońskiej ku Wilnu. Byle co rychlej dostać się do pierwszego miasta, gdzieby się czuło nad głową bezpieczny dach i ciepło jakby już ojczystego ogniska.

Z Moskwy wypadło armii wziąć odwrót nie w najprostszym na Wilno, kierunku ale jakby luką na północ nieco; dopiero od Pleszczenic dano zwrot na południe, przedzierając się najkrótszą drogą ku Mołodecznu, na szeroki trakt.

Dnia 29-go listopada stał Napoleon kwaterą w Kamieniu, otoczony silnie przetrzebionymi regimentami gwardyi. Ney obozował w Ziembinie; ks. Eugeniusz Beauharnais i marszałek Davout z awangardą w Pleszczenicach. Nazajutrz linia odwrotu przesunęła się tak, że cesarz już jest w Pleszczenicach a awangarda armii w Niestanowiczach; dnia 1-go grudnia Napoleon popasa w Stajkach, poprzedzony awangardą, używającą krótkiego wczasu w Ilii; nareszcie—po marszu niemilosierdzie uciążliwym i forsownym, gdyż chodziło o dotarcie do

terowuje się w jego mołodeczańskim pałacu, podejmowany tam z czolobitną ostentacją przez administrację dóbr książęcych...

Takie już to czasy były...

I w pałacu mołodeczańskim (którego już, niestety, śladu nie pozostało, po dwóch pożarach) pisze Napoleon historyczny swój biuletyn 29-ty, odsłaniający całą groźbę klęski, poniesionej w wyprawie na Rosję... Podczas gdy straszliwa wichura grudniowa jakby ciska zewsząd i zgarnia w Mołodeczno resztki armii, jakiej świat nie widział, podczas gdy w zasypane śniegami miasteczko wpięra się i rozsadza je tłum oszalały od mrozu i głodu, podczas gdy poprzez szum zamieci biją w okna głuche huk armat Ney'a i marszałka księcia de Belluno, ploszących i powstrzymujących heroicznie nacierające na centrum odwrotu pułki Czapllica i Czyczagowa...

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.



TAK ZWANE APENINY NA KSIĘŻYCU.  
Zdjęcie fotograficzne z obserwatorium przegalińskiego.

# Trakt Napoleoński.

## III. NA ZIEMI POLSKIEJ.

Dotarłszy do Mołodeczna, zwała się tragiczna *katabasis* napoleońska z powrotem na ziemię „polską”—jak wówczas zwano wszystko bez wyjątku obszar b. Rzeczypospolitej.

Nie było to jeszcze wybrnięcie z położenia nad wszelki wyraz krytycznego i nie można było spodziewać się żadnego sukursu od „ludu”, choćby najlepiej usposobionego dla armii francuskiej, nawet sromotnie rozbitej; była to jednak zawsze ulga znaczna. Kraj usiany był zagrodami i zaszciankami szlacheckimi, z pod których strzech słano przecie od lat wielu pod sztandary napoleońskie najzapaleńszych ochotników; w wioskach pańszczyźnianych dworów polskich, gęsto sąsiadujących z sobą, nie było obawy natknięcia się na żywiołowe odruchy sfanatyzowanego „wojną narodową” ludu włościańskiego z Rosyi środkowej.

Chłop białoruski, z natury łagodny i spokojny, nie orientował się, juści, najkompletniej w żadnych zgola prądach politycznych ówczesnych i na to, co się dookoła dzieje, patrzył, jak na troje dziwów z bajki-niebajki; ale mowy być o tem nie mogło, aby na własną rękę rzucił się bronić najrodzeńszej nawet chudoby swojej od „maruderów”, „furażerów”, lub „kwaterystrów” choćby niewiedzieć jak odziczałego wojska, którego generałów i oficerów rozkwateryrowano ze wszystkimi honorami po dworach. Wśród wyższych sfer społeczeństwa miejscowego, to jest wśród najzamożniejszego ziemiaństwa, nurtowały wprawdzie tu i owdzie prądy antynapoleońskie, „trzymające” z popularnym cesarzem Aleksandrem, oczekujące wzorem Czartoryskiego, Czackiego, Śniadeckiego ziszczenia najdroższych narodu nadziei od nikogo innego, jeno od potężnego „przyjaciela księcia Adama”, ale gra cała ówczesnej naszej „partyi ruskiej” odbywała się, hen, daleko na parkietach salonów petersburskich lub po magnackich pałacach warszawskich i między Wilnem a Mińskiem nie straciła jednego włosa z głowy żadnemu — „najeźdnikowi”. Gdyż nawet przed upiorną, bezładną, obdartą i zgłodniałą tłuszcą pobitej i rozproszonej armii Napoleona leciał wciąż jeszcze krajem „polskim” blask nieprzepartego uroku „boga wojny” i ów urok, pomoc na pozór tak słaba, nieobliczony dał sukurs odwrotowi wielkiej armii, wydostającej się resztkami już sił z bezprzykładnych tarapatów przegranej kampanii. General Marbot w pamiętnikach swoich kładzie na czele błędów, popełnionych przez Napoleona w 12-ym roku, to, iż przemieszał ba-



MICHAŁ KLEOFAS Ks. OGIŃSKI.

taliony i brygady francuskie oddziałami wojsk aliantów swoich. *C'était—wola Marbot—affaiblir un vin généreux en y mêlant de l'eau bourbeuse!* Dzięki jednak rozsianiu po całej armii np. takich „cudzoziemców”, jak Polaków, miano na całej linii pochodu na Moskwę znakomitych wywiadowców, porozumiewających się biegle z ludnością miejscową, a podczas ostatnich etapów odwrotu miano w owych Polakach—„cudzoziemcach” nieoceniony łącznik z terenem najcięższej już przeprawy. Nie biorąc oczywiście w rachubę — krwi polskiej, przelewanej hojnie podczas całej kampanii, i lanc oraz szabel polskich, co wytrwały niezłomnie przy „małym kaprału” nie tylko w dolii, ale i w niedoli. I w wąwozach gór hiszpańskich—i na mostach Berezyny—i pod Lipskiem—i w wygnañczem osamotnieniu na Elbie...

Zawsze i wszędzie. *Usque ad finem.*

Nogą stąpił Napoleon na ziemię „polską” w odwrocie z pod Moskwy na terytorium ogromnych dóbr magnackich tak zwanego „hrabstwa” mołodeczańskiego. Właśnie przed samem wybuchnięciem wojny rozpoczęto, na instancję księcia Michała Kleofasa

Ogińskiego, komasowanie całej fortuny szacowanej, mniej więcej, na 25 milionów złotych polskich, i oczyszczenie jej z długów. Specjalna komisya miała zatwierdzić ostateczną t. zw. komplancyę. Ks. Michał Kleofas, b. podskarbi, za udział w insurekcyi kościuszkowskiej miał wzbrciony powrót do kraju; ziemskie jego dobra uległy konfiskacie. Dopiero starania ks. Adama Czartoryskiego u cesarza Aleksandra I wyjednały w r. 1802 zdjęcie konfiskaty i kasatę banicyi. Ks. Michał Kleofas wrócił do kraju i w charakterze, czasowo, administratora dóbr własnych oraz hetmana i kuchmistrza Ogińskich zajął się zaprowadzeniem ładu i porządku w niezmiernie zawiłanych interesach majątkowych. Przerwało mu tę akcyę wybuchnięcie wojny. Ks. Ogiński oddał się całkowicie robocie politycznej, polegającej na „odezarowaniu” ziemiańskiej szlachty polskiej na Litwie i Białej Rusi z pod uroku napoleońskiego i zwróceniu wszystkich jej nadziei w stronę cesarza Aleksandra.

Tymczasem zaś rozległe ziemskie posiadłości, które b. podskarbi władał faktycznie, nie tylko „hrabstwo” mołodeczańskie, ale i leżące opodal; Hanuta, Raków, Ila, jak niemniej Zalesie, węgowały czekając na lepsze a przede wszystkim spokojniejsze czasy. Osobistą rezydencyę miał ks. Ogiński od roku 1802 nie w Mołodecznie, jeno

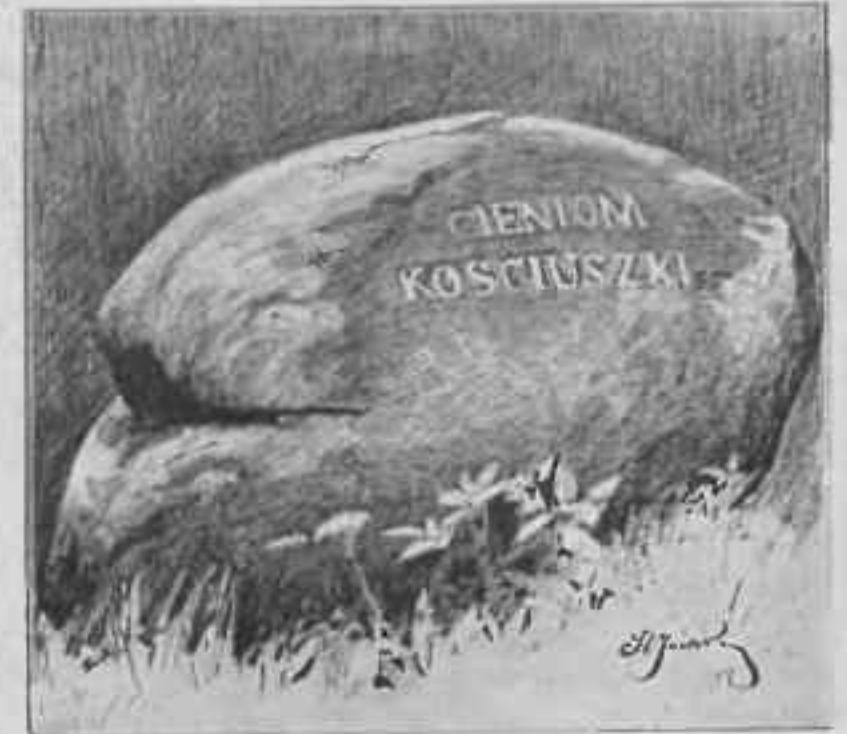
w Zalesiu, w Mołodecznie zaś przebywał od czasu do czasu, otaczający się dziwną etykietą, bezzenny, zniedołężniały stryj ks. Michała Kleofasa, ostatni kuchmistrz litewski, Franciszek Ksawery Ogiński, wojewodzie trocki, nie mieszający się atoli do zarządzania dobrami, które rozporządzał się, jak swoją własnością domniemany spadkobierca, ks. Michał Kleofas. Napoleon, jak się rzekło, nie zastał w pałacu mołodeczańskim ani jednego, ani drugiego „gospodarza”.

Rozłokował się atoli w pałacu, jak u siebie, i zabawił w nim godzin ośmnaście.

Opodal dworu leżące miasteczko nie było chyba rozleglejsze, niż obecnie. Jednopiętrowe domy drewniane dzisiejsze, mizerne, przepelnione zydostwem, przypominają niewątpliwie zabudowania miasteczkowe z czasów napoleońskich. Jedyne dwie ulice chyba tylko poszerzono... Znikł natomiast kościół... W środku obszernego rynku wznosi się cerkiew. Znikła też, słynna swego czasu, szkoła polska, z której wyszli w połowie ubiegłego stulecia: orientalista, zasłużony profesor uniwersytetu petersburskiego, Antoni Muchliński, oraz niepospolity krytyk, Aleksander Tyszyński. Dziś w murach bylejsz szkoły mieści się seminaryum nauczycielskie. Nie szukać śladu ani zamku obronnego kniaziów Zbarskich, ani śladu przebywania w 1389 r. Dymitra



TYP WIEŚNIAKA Z GUB. MIŃSKIEJ.



KAMIEŃ PAMIĄTKOWY W PARKU W ZALESIU.

Korybuta, księcia Nowogrodu Siewierskiego, co w Mołodecznie hołd składał Jagielle, ani śladu pobytów kanclerza Lwa Sapielhy, dziedzica swego czasu Mołodeczna, ani rezydencyi burzliwego podskarbięgo, Michała Kocielę, do którego Mołodeczno z kolei należało... Skrzyżowanie się w Mołodecznie nawet dwóch linii kolejowych, Libawo-Romeńskiej i Bałagoje-Siedleckiej, nie przyczyniło się w najmniejszej mierze do jakiegokolwiek rozkwitu malej, lichej mięściny. Nawet podupadła jako punkt handlowy, obsługujący ongi okoliczne dwory i dworki.

Równina dokoła, niemal pustynna od trzypolówek gospodarki chłopskiej. Piaski... Wielkie dobra mołodeczańskie poszły w r. 1832 pod eksdywizyę; rozebrali je częściami Tyszkiewiczowie, Łopacińscy, Morawscy, Juszyńscy. Dziś główne fundum własnością jest Michała hr. Tyszkiewicza, dziedzica Wołożyna, przebywającego stale w Paryżu.

(DCN)

CZESŁAW JANIKOWSKI.

## OD ADMINISTRACYI.

Prenumeratorem „Tygodnika Ilustrowanego”, którzy opłacili prenumeratę za rok 1911, a jeszcze nie odebrali premium „Sybir, wizye przeszłości”, albumu Konstantego Gorskiego (serya I), są proszeni o łaskawe zgłoszenie się po nie do dnia 1 kwietnia 1912 r. Po upływie wymienionego terminu żadne już reklamacye uwzględniane nie będą.



DWÓR W ZALESIU W ROKU 1822.

## Trakt Napoleoński.

Podczas gdy wojsko paliło domy drewniane miasteczka, aby ogrzać się przy tych improwizowanych ogniskach, Napoleon czytał depesze, nadesłane mu z Francji. Spalił ich wiele i zabrał się do redagowania historycznego 29-go biuletynu, co miał niebawem ujawnić „urzędownie” wobec całego świata ogrom katastrofy i który, miał przybyć do Paryża wcześniej, niż... wieść głucha o tem, co się w Rosji stało.

Dzień był pogodny, jasny, względnie nie do zbyt mroźny. Czyczagow z kozakami swymi, nie zdążywszy przeciąć Napoleonowi drogi do Mołodeczna, dopadł doń już po opanowaniu miasteczka i dworu przez wojsko francuskie, ale rozbił biwaki za wielkimi moczarami, leżącymi o jakieś ćwierć mili za Mołodecznem. Przez te moczary, rzeczki i staw, niedostatecznie zamrożone, nie było sposobu zaatakować Francuzów, zazywających popasu i wypoczynku w Mołodecznie. Dopiero w nocy mróz wzmógł się gwałtownie, bagna stężały i artylerja Czyczagowa ruszyła naprzód po lodzie i grudach, krzepną-



SMORGONIE. Były kościół Zenowiczów u wylotu traktu Napoleońskiego z miasteczka.

ych znakomicie pod mrozem 20-stopniowym. Ale już Napoleona w Mołodecznie nie było... Pociski armat rosyjskich osypały dwór mołodeczański, ale salwy natychmiast wstrzymano, nie wyrządźszy szkody nawet Bogu ducha winnym zabudowaniom gospodarskim.

Tymczasem zaś w pokoju, zajmowanym przez cesarza, obawiano się rozpalić piec, aby nie dymił, i rozłożono tylko ogień na kominie. Do komina przysunięto kanapę i przespał się na niej „władca Europy”, w płaszcz owinięty. Naza jutrz po wyjeździe cesarza Francuzów spostrzeżono na kominie napis ołówkiem: *Napoléon I.* W kilka dni później nocował w tymże pokoju mołodeczańskiego pałacu Kutuzow i do autografu Napoleona dopisał: *...et dernier.*



RUINY Z CZASÓW NAPOLEONA POD ZALESIEM.

Wczesnym rankiem 4-go grudnia nadszedł do Mołodeczna, naciskany przez Czapllica, marszałek Victor książę Belluno ze szczątkami dziewiętego korpusu—około 4,000 żołnierza. Książę Beauharnais, wice-król włoski, otrzymał rozkaz wysłania w dalszą drogę ku Wilnu skarbu cesarskiego oraz rannych i chorych, zaś gwardya cesarza posunęła się z wolna przez Marków i Lebidziew ku Bienicy, gdzie cesarz miał popasać. Furgony, wiozące skarb oraz rannych, zaatakowali między Lebidziewem a Bienicą kozacy, stanowiący przednią straż oddziału Lańskiego, ale zostali odparci. Cudem uszli niewoli jadący na zaatakowanych furgonach ranni włoscy generałowie Pino i Fontana.

Domniemanie po tej właśnie potyczce, dość zawziętej, pozostały u traktu, między Mołodecznem a Lebidziewem liczne kurhany, co nawet nazwę swoją dały miejscowości, lecz dziś już pozniwały niemal doszczętnie. Zresztą potyczek stoczono w okolicach Mołodeczna wiele, a mróz dziesiątkował i wojska francuskie i wojska rosyjskie. Ogiński pisze w pamiętnikach swoich, że podczas postoju w Mołodecznie „padło” kilka tysięcy ludzi. Dodajmy, że pod wieczór 4-go grudnia nadszedł pod Mołodeczno Ney i Maison z resztkami swoich korpusów. Pędzący za nimi Czapllic natarł na kilkuset, padających z głodu i chłodu Francuzów, ci jednak dzielny dawszy odpór armatami, zdążyli dopaść do Mołodeczna i połączyć się tam z oddziałem marszałka Victora. Wywiązała się w samym już Mołodecznie formalna batalia. Walczono — jak wyraża się Ségur—nie o żaden honor, jeno o... dach nad głową. Dopiero jednak około południa wojska rosyjskie zostały z miasteczka wyparte, cofnęły się do okolicznych wiosek i tam rozkwaterowały się. A mróz ciął taki, że mowy już nie było o walce ani zaczepnej, ani odpornej.

Podczas batalii Napoleona już w Mołodecznie nie było. O dziewiętej rano 4-go grudnia puścił się w dalszą drogę — zoczywszy nieco z traktu—przez Lebidziew i Marków do Bienicy. Marszałek Victor, po stoczeniu bitwy z oddziałami Czapllica, zbierał się natychmiast ruszać dalej; rozkaz cesarski wstrzymał go i powierzył mu dowództwo nad arygardą, a wezwał natomiast niezwłocznie Neya do Smorgoni.

Już bowiem w Mołodecznie, po odczytaniu depesz paryskich, zdecydował się cesarz ostatecznie opuścić armię i wracać co tchu do Francji. Zakomunikował swoje postanowienie marszałkom Berthierowi i Durocowi oraz generałowi Daru, przedyskutował z nimi wszystkie „za” i „przeciw”, protesty uciszył i Caulaincourtowi dał rozkaz przygotowania w sekrecie odjazdu. Odjazd miał nastąpić ze Smorgoni.

Mniej więcej o południu 5-go grudnia stanął Napoleon kwaterą w Bienicy.

W Bienicy, podobnie jak w Mołodecznie, gościł Napoleon pod nieobecność „pana domu”.

Dziedzic rozległych włości, Michał Kazimierz Kociell, ostatni potomek magnackiego rodu, któremu ojciec, Tadeusz Kociell, starosta oszmiański i markowski, general-major wojsk litewskich, wydzielił był Bienicę sukcesją jeszcze za życia, unikał nie tylko brania udziału w zawierusze 1812-go roku, ale schodził jej nawet oględnie z drogi. Odjechał do majątku niedawno zmarłego młodszego brata, Józefa, pułkownika b. wojsk polskich, do Horodziłlo-



GŁÓWNA ULICA W SMORGONIACH.

wa, bardziej na południu sytuowanego i niezagrożonego przez inwazyę francuską, i tam zbierał się oczekiwać na zapanowanie w kraju... świętego spokoju. Dziedzic bienicki, aczkolwiek liczący lat dopiero czterdzieści kilka, aczkolwiek weteran wojsk kościuszkowskich w randze rotmistrza kawaleryi narodowej, a swojego czasu piastujący urząd wcale uciążliwy jenera'-majora powiatu oszmiańskiego, schorzał był i sterany przedwcześnie. Rychło też, w początkach wiosny roku następnego 1813-go życia dokonał w odziedziczonym po bracie Józefpolu, w pobliżu wspomnianego Horodziłłowa, i na bezzennym Michale Kazimierzu wygaś prastary ród Kociellów, osobliwie pamiętny w dziejach naszych narodowych z racji marszałkowania przez kasztelana i podskarbiego Kociella koło szlacheckiego, którego formalnie „pospolite ruszenie”, liczące do dwudziestu tysięcy głów, stoczyło w r. 1700 sromotną bitwę pod Olkienikami z adherentami i wojskiem Sapiechów.

Napoleon zastał w Bienicy dwór obszerny i wygodny rezydencyonalny, wystawiony przed stu laty z okładem przez tegoż kasztelana-zawadykę, a w pobliżu wielkopańskiej rezydencji wznosił się kościół okazały, również fundacyi najhistoryczniejszego z Kociellów herbu Pelikan.

Kościół w Bienicy istnieją już tylko ruiny. Po roku 1863 obrócono go na cerkiew; pożar wyniły we wnętrzu: nabożeństw zaniechano i cerkiew pustką stoi. Pod posadzką znajduje się obszerny sklep grobowy, gdzie stały trumny kociellowskie, których śladu już niema. Przy kościele stał niegdyś klasztor o grubych murach i potężnych sklepieniach. Rozpadający się w gruzy gmach — uprzętnięto powoli. Same dobra bienickie po wygaśnięciu Kociellów przeszły na Abramowiczów, a zaś jedna z Abramowiczównien wniosła je niebawem wianem Kazimierzowi Szwykowskiemu, sekretarzowi ostatniej ambasady naszej przy dworze pruskim, i tym rzeczy składem przeszła Bienica, znacznie przedażami, takami i procesami uszczuplona, w posiadanie dzisiejszych jej dziedziców, Szwykowskich.

Jeżeli jednak sama majątność jest dziś już tylko cieniem tego, czem była sto lat temu, natomiast stary dwór bienicki stanowi do dziś dnia bardzo piękny i szacowny okaz pańskiej z XVIII wieku rezydencji wiejskiej. Pokoi dwadzieścia kilka; sień ogromna o ceglanej posadzce prowadzi do obszernej sali z występującymi ze ścian półkolumnkami; pokoje o wysokich sufitych; tu i owdzie jeszcze piece na nóżkach. Lewy narożny pokój przechował na ścianach freski z w. XVIII, festony kwiatów i owoców, wijące się wśród sielankowych krajobrazów i grup. W prawym skrzydle umieszczona tradycya miejscowa pokój historyczny, w którym noc spędził Napoleon. Świta cesarza noclegowała na przeciwległym skrzydle i bawiła się uwiecznianiem nazwisk

swoich na drzwiach sypialni. Drzwi te pamiątkowe, niestety, uległy zniszczeniu...

Krótki popas w Bienicy obrócił cesarz — o ile wnosić wolno — na ostateczne zredagowanie biuletynu, naszkicowanego w Mołodecznie. Ważyć przecie i rozważać trzeba było każdy wyraz...

Do Mołodeczna przywiózł był cesarzowi z Paryża członek Rady stanu, de Forget, szczegółową relację o wybuchnięciu i stłumieniu bezczelnie śmiałego spisku generała Maleta. Więc do tego doszło? Takie rozprzężenie zapanowało w samej nawet stolicy na głuche jeszcze tylko wieści o jakimś tam niepowodzeniu oręża francuskiego? Nie do wiary! Malet w ciągu jednej nocy zdołał „opanować” Paryż i — uwięził samego ministra policji. Wszakże to niesłychane! Aresztowano Maleta, rozstrzelano go wraz z dwunastu towarzyszami... Rozumie się! Ale cóż za demoralizujący Francję... wypadek! Na dobitkę ten Malet zachowywał się przed lufami karabinów, jak bohater. Sam komenderował: *Joué!... Feut!* i dopiero druga salwa powaliła go. Puszczono 150 kul i rannych musiano — dobijać. Paryż o tem mówi... Francja śpiewa po cichu piosenki o Maletcie... Ludność Paryża spadła w ciągu pół roku z 600,000 głów do 530,000, jak wykazał spis święto dokonany...

Noc. W narożnym pokoju bienickiego dworu cesarz czuwa jeszcze. Nie wolał sekretarza. Sam pisze. Ręka kreśli na papierze bajeczne hieroglify, a oczy cesarza utkwione — w Europę. Biegają wyrazy — przekreślane, to przywracane w brzmieniu jeszcze oględniejszym.

...„Byliśmy zmuszeni zniszczyć znaczną część armat i amunicji. *Il fallait marcher pour ne pas être contraint à une bataille, que le défaut de munitions nous empêchait de désirer...*”

Tak niech będzie! Nie pożądalibyśmy bitwy jedynie dlatego, że brakło nam — amunicji.

...„Ranni, furgony etc., wszystko, co mogłoby utrudniać pochód armii, skierowane zostało na Wilno. Wojsko potrzebuje przede wszystkim wycofania. Cesarz znajdował się wciąż w pośrodku swojej gwardii. Jego Cesarska Mość, zadowolona z ducha panującego wśród tego wojska wyborowego, gotowa była udać się z gwardią wszędzie, gdzieby wymagały tego okoliczności; lecz okoliczności składały się zawsze tak, iż sama obecność gwardii wystarczała i prowadzić gwardii w ogień konieczności nie było...”

Pauza. Oczy cesarza schodzą z szerokich widnokręgów myśli. Wpatrują się przez chwilę w nakreślone pismo; ręka cofa się i przenosi pióro na odstęp nowy.

I dopisuje cesarz ostatnie słowa dwudziestego dziewiątego biuletynu:

„*La santé de Sa Majesté n'a jamais été meilleure.*”

Okres ten wywoła we Francji, w świecie całym — zdumienie. Będą go jeszcze całe pokolenia komentowały jako bezprzykładny odruch: pychy i upojenia. Może... Lecz okres niech zostanie. Wszak gdy pod Austerlitzem potknął się o kamień koń cesarza i omal że jeźdźca nie zrzucił, rzekł on, Napoleon, do swity swojej: „Pomyśleć tylko, że ten kamień mógł zmienić postać świata!” No, ten kamień mógł zmienić postać świata... dziwić się, że on, Napoleon, tak powiedział.



PORTRET FANTAZYJNY

EDWARD OKUN

Dopalają się świece w ciężkim srebrnym kandelabrze, znaczone herbami Kociellów, dobytym ze skarbczyka na stół cesarski. Cesarz klasnął w dłoń i skinął tylko głową ku drzwiom, w których zamigotał wzorzysty kaftan Rustana.

Wszedł sekretarz. On teraz pisze, a cesarz chodzi szparko po pokoju i dyktuje. Dyktuje sam komentarz, którym tekst 29-go biuletynu ma opatrzyć paryski urząd „Monitor” (*Moniteur*), ogłaszając nadesłany przez cesarza dokument.

— Pisz pan!... Ten biuletyn powinien wzbudzić zachwyt najwyższy dla niewyczerpanej mocy... Przekreśl pan!... dla stoicyzmu oraz geniuszu J. Ces. Mości. Mało kart dziejów starożytnych i nowoczesnych może równać się z tym wiekopomnym biuletynem pod względem wspaniałości, szlachetności oraz wagi. Jest to dokument historyczny pierwszorzędny. Ksenofont i Cezar napisali jeden „Odwrot dziesięciu tysięcy”, drugi „Komentarze”. Z pod ręki Napoleona wyszedł „Dwudziesty dziewiąty biuletyn”.

W narożnym pokoju bienickiego dworu, jak w świetlicy „Wesela” Wyspiańskiego — pełno mar, widm i wyczarowanych postaci. Tylko, że widma to i mary nie z czasów dawno przeminionych, jedno gromadzą się i tęteją widma czasów, co... nastać mają niebawem. I czasy te właśnie kształtuje i tworzy ten, którego rozkazu przywykły słuchać dzieje...

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

## Obojętność.

Niedawno miał w Warszawie swój koncert Ludomir Różycki. Po koncercie kilku sprawozdawców poskarżyło się nieśmiało na to, że po sali... wiatr chodził. Publiczność polska nie dopisała. Publiczność polska nie przyszła na koncert kompozytora polskiego!

Dlaczego?

— Gdyby Różycki nazywał się Rosenberg albo Rosenkranz — powiedział ktoś złośnawy — na sali byłoby pełno. Bo tylko Żydzi umieją popierać „swoich”. My — największym naszym talentem rzucamy kamienie obojętności pod nogi, dajemy im do zrozumienia, że sztuka jest dla nas rzeczą zbytku, że mogą iść z nią gdzieindziej. Proszę sobie tylko przypomnieć, jak publiczność żydowska odrazu, od pierwszego przedstawienia poparła „Sąd” p. Rosenblattowej. Poszła ławą i sztukę utrzymała. Gdyby publiczność polska tak samo ławą poszła na koncert Różyckiego, poczuwając się do łączności duchowej z artystą — koncert nie tylkoby się powiódł, ale byłby trzykrotnie powtórzony. Tylko, że po nas się to nigdy nie pokaże.

Tak mówił pewien człowiek złośliwy. Przesadził może cokolwiek w swojej złośliwości, ale, niestety, miał słuszną, podkreślając obojętność naszą dla twórczości rodzimej.

Kogo ona interesuje naprawdę i szczerze — nie tylko w zakresie muzyki — trudno czasem orzec. Chwilami zdaje się, że w Polsce współczesnej poeci piszą tylko dla siebie, aby wzajemnie mogli się czytać i poznawać, że malarze i rzeźbiarze wystawiają swoje prace przede wszystkim po to, aby koledzy zawodowi mogli ich swobodnie odsądzać od talentu, że muzycy dają koncerty kompozytorskie wyłącznie dla sprawozdawców dziennikarskich i t. d. Poza tem, jak ołdem sięgnąć, wszędzie obojętność, obojętność i obojętność bez kresu i dna.

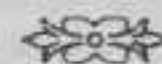
Wielkie doprawdy jest to morze, na które wpływa artysta polski w złudnej nadziei, że pracą wiosel swoich dobije do Brzegów wyspy koralowej.

A przecież nie tak to dawne czasy, kiedy mówiono u nas głośno, w niektórych przynajmniej obozach, o przestetyzowaniu społeczeństwa. Co za fatalna pomyłka! Pękła bańka mydlana. Rozproszyła się garść snobów, roznoszących po salonach, wraz z czarnym, „modernistycznie” związanym krawatem, kult sztuki i z kultu tego nie pozostało nic zgola. Żadnych zamiłowań, żadnych ukochań głębszych, żadnych niemal śladów tych potrzeb duchowych, których wyrazem jest sztuka.

Doprawdy, obawiać się można, iż przyjdzie czas, kiedy Bóg dobrotliwą ręką swoją odwróci od nas i przestanie siać na ziemi polskiej talenty. Bo — wróćmy znów do Różyckiego, Mogłoby go nam zazdrościć obcy. Przyszedł pod dobrą gwiazdą; przyszedł silny i pełen wiary w swoje pośmiertne artysty; przyszedł natchniony i zrywający się w krainę tajemniczego tonu; przyszedł, aby nas prowadzić z sobą w dziedzinę najwyższej poezji — a my? Zanotowaliśmy skromnie jego nazwisko, zgodziliśmy się na to, że ma talent, bo potwierdziła to zagranica, i nie interesujemy się wcale tem, jak ten talent rośnie, rozwija się, dojrzewa, wyłamuje z pod wpływów i zależności i wchodzi na drogę własną.

Dopiero gdy go nam zabiorą, gdy Paryż i Londyn, Berlin i Lipsk uczynią go sławnym na cały świat, a jeden i drugi *impresario* amerykański zamęci mu spokojną twórczość brzękiem dolarów — dopiero wówczas przypomnimy sobie o „znakomitym rodaku” i, jak kania deszczu, będziemy wyglądali jego przyjazdu do kraju, aby zarzucać go prośbami o wsparcia i mówić mu o naszej biedzie i nieszczęściach.

Ale dzisiaj — artysta polski może grać przed pustymi krzesłami, bo niema tych, co poczuwaliby się do duchowej z nim łączności i ławą szli tam, gdzie bije nowe źródło twórczości polskiej. Z. D.





KOŚCIÓŁ W SMORGONIACH, u traktu „napoleońskiego”, fundowany przez Zenowiczów (obecnie cerkiew), jakim był w r. 1812. Kopia z obrazu, malowanego z natury w r. 1850 przez K. Rusieckiego.

## Trakt Napoleoński.

### IV. ZE SMORGON DO WILNA.

Wolno jechał Napoleon z Bieńczy do Smorgoni. Opuściwszy Bieńczy o 9 rano dn. 5-go grudnia, stanął tegoż dnia w Smorgoniach dopiero o 12-iej po południu, czyli, że nawet jeśli, zamiast jechać krótszą drogą „partykularną” na Ponizie, wydostano się, jak należy przypuszczać, z powrotem u wsi Saskiewicze na szeroki trakt pocztowy, to i tak jeszcze nie wyda się chyba szybkim przebiegiem wiorst mniej więcej dwudziestu w ciągu jednego dnia.

Smorgonie, dziś miasteczko, a ongi miasteczko i dwór, gdzie miał rozegrać się jeden z najpamiętniejszych epizodów kampanii rosyjskiej, nianowicie opuszczenie armii przez naczelnego wodza, zdobyły sobie popularność bynajmniej nie z racji tego właśnie momentu w dziejach swoich. Rozsławiły Smorgonie na kraj cały, ba, nawet poza kraju granicami: „akademia” i obwarzanki! Tak zwana żartobliwie „akademia” była to szkoła, erygowana przez ks. Karola Radziwiłła Panie Kochanku—dla „uczonych” niedźwiedzi. Krążyły o niej wręcz legendowe opowieści. Dziś żaden już niedźwiedź nie wykonywa w Smorgoniach koniecznych egzericyi na rozpalonych blachach; nie słychać się już tam żadne zaprzęgi niedźwiedzie ku uciezce magnata nieświeskiego... Nie wychodzi tylko z obiegów przysłowiowe wyrażanie się: Uczony, jak akademik smorgoński! Rywalizowały zaś z rozgłosem smorgońskich niedźwiedzi smorgońskie obwarzanki. Początkowo wyrabiano je tylko w Smorgoniach, jak np. słynne pierniki wyłącznie w Butrymańcach. Dziś — wciąż jeszcze walewają Litwę całą i Białoruś obwarzanki „smorgońskie”, ale oprócz nazwy nie mające wspólnego ze Smorgoniami. Jak „szwedzkie” zapalki, co Szwecyji nigdy nie widziały.

I faktycznie z całej przeszłości Smorgoni jedyną już dziś pozostałością są chyba nieśmiertelne—obwarzanki smorgońskie...

A rezydowali niegdyś w Smorgoniach Despotowie z Bratoszyna Zenowiczowie, ród starożytny, wywodzący się z pnia udzielnich książąt — despotów — serbskich, ród ojczyźnie naszej zasłużony, jak mało który, w radzie i w boju. Senatorskie zajmowali krzesła, buławy piastowali,

doniosłe odprawiali poselstwa — początkowo żarliwi katolicy, następnie z „dysydentów” naszych jedni z najdzielniejszych. Jerzy z Bratoszyna Zenowicz, kasztelan połocki i smoleński, odbiegłszy od wiary ojców, zbór ewangelicki w Smorgoniach fundował i pochować w nim siebie rozkazał. „Tęlo moje gresznoje—pisał w testamencie—małżonka moja pani Ganna Słuszczanka, pocztowie pogrzeb uczyniwszy, w kościele smorgojńskim, tam, gdzie tęta prodkow moich pochowany sut (Zbór przerobiony został z kościoła katolickiego, wzniesionego w r. 1505 przez dziada Jerzego Zenowicza) pochowati majet obyczajem ewanielikow...” W Smorgoniach miał rezydencję swoją Krzysztof Deszpot Zenowicz, jak zaczęli pisać siebie Zenowiczowie, wojewoda brześciański, którego szlachetna i niepospolita postać za mało ma blasku w dziejach naszych.

On to był komisarzem, prowadzącym układy między Polską a domem austriackim, po wzięciu do niewoli arcyksięcia Maksymiliana pod Bieczyną. W Smorgoniach założył szkołę; niemalą bibliotekę zgromadził, a gorliwy ewangelik, umierając w r. 1614, pozywał w testamencie swoim na sąd Boga każdego, kto by poważył się zbór w Smorgoniach wyznaniu ewangelickiemu odebrać. Niestety!—uczynił to już syn rodzony kasztelana, też Krzysztof, wojak zawołany, co na czele własnej chorągwi husarskiej padł śmiercią bohaterską pod Chocimem. Ów właśnie dziedzic Smorgoni pojednał się z wiarą katolicką, nawet sam różne pisma oraz wiersze dowcipne przeciw dysydentom układał i zbór ewangelicki kazał na kościół przerobić. Dziś kopuła cerkiewna pokryła i były kościół i były zbór...

Za dziedzictwa Zenowiczów popasał i noc spędził w Smorgoniach dnia 20 sierpnia 1609 r. król Zygmunt III, ciągnąc na wyprawę przeciwko Moskwie. Gościli też następnie w Smorgoniach, w sto lat później, król Stanisław Leszczyński i król szwedzki, Karol XII, w lutym 1708 r. Przeszło miesiąc bawili w Smorgoniach obaj zaliantowani monarchowie: król szwedzki, gromadząc rozproszone wojska swego oddziały, król polski—werbując stronników. W Smorgoniach wypracowany został plan dalszej wspólnej akcyi i zawarty był traktat z pełnomocnikami Mazepy.

Tymczasem zaś przeszły Smorgonie wianem w dom Radziwiłłów; dobra przestały być rezydencyonalnemi; cały ich splendor zgasł. W samym początku ubiegłego wieku kupili je Ogińscy i odstąpili w drodze układów rodzinnych Przeździeckim, a pierwszym Przeździeckim, właścicielem Smorgoni, był hr. Karol, który natychmiast pośpieszył wskrzesić wielkopańską w Smorgoniach rezydencję. W jego też rezydencyonalnym pałacu stanął kwatery przybyły z Bieńczy Napoleon.

Karol hr. Przeździecki, za wkroczeniem Napoleona w granice Rosyi, rzucił się z zapalem do szeregów wojsk litewskich. Utworzono wówczas w Wilnie

pięć pułków piechoty i kawalerii. Przeździecki otrzymał dowództwo jednego z pułków kawalerii i odbył całą kampanię rosyjską, odznaczony się chlubnie podczas przeprawy przez Berezynę. Odpasawszy szablę, osiadł na stałe w Smorgoniach i jął gospodarzyć nie tylko z właściwą mu energią, ale i niepospolitą umiejętnością.

Do późnego wieku dziarski i rzeźki, rycerski dla dam, popularny wśród sąsiadów, uczynny, serdeczny, ruchliwy, z kresą przez twarz, zawołany gospodarz, typowy „napoleonista”, położył wielkie zasługi dla kultury rolnej w kraju. W Smorgoniach nadto założył fabrykę powozów, rozpowszechnionych bardzo swojego czasu, a zwanych „berlinkami”. Słynęły: smorgońska stadnina oraz bydło Przeździeckiego hodowli. Dwór roził się od autentycznych ukraińskich kozaków, którymi hr. Karol otaczać się lubił.

Sądono mu też było odegrać wybitną rolę w insurekcyi 1830-go roku. Na wieść o opuszczeniu Oszmiany przez Zienkowicza, stawił Przeździecki we trzy dni w Smorgoniach swoich na nogi cały oddział kawalerii w pełnym umundurowaniu. Przybywa z Oszmiany organizator tamtejszego powstania, Józef Zienkowicz, staje na czele 320 kawalerzystów smorgońskich i traktem „napoleońskim” rusza do Oszmiany. Wyprzedza go pocztą Przeździecki i spotyka wchodzący do Oszmiany oddział. Natychmiast nazwano owych kawalerzystów Przeździeckiego „desperatami” i nazwa się utarła. Dał do niej powód ubiór — niepospolity.

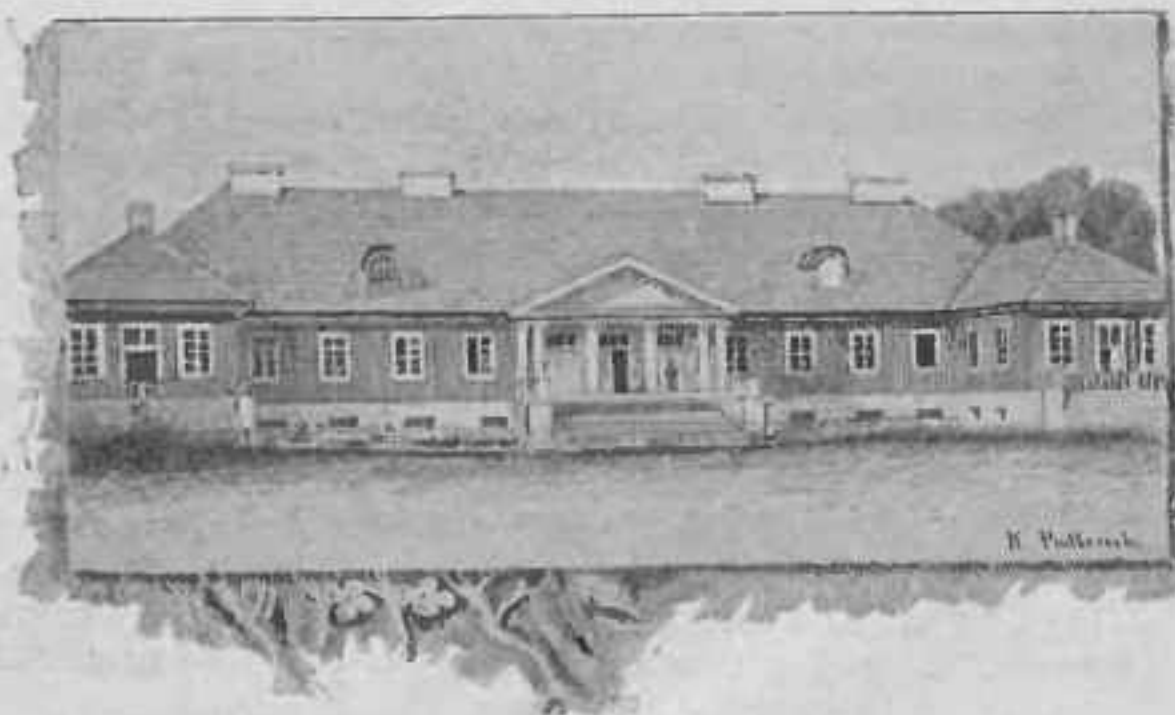
Krótki czarny surdut; na stojącym kołnierzu dwie białe, nad skrzyżowanymi pischelami, trupie główki; takąż na lewej piersi; po jednej na rękawach; na obu piersiach naszyte białe żebra; na głowie kask czarny z trupa czaszką; pas biały z pistoletami; szabla przy boku. W następstwie przyoblekł jeszcze Zienkowicz oddział smorgońskich „desperatów” w płaszcze pon-sowe.

Nastąpiło uroczyste podpisanie w Oszmianie aktu powstania. Naczelnikiem siły zbrojnej obwołano Karola Przeździeckiego, który niebawem z 2.500 żołnierza pociągnął na Mińsk, aby tam wywołać ruch. Tymczasem jednak wojska rosyjskie, dowodzone przez generała Ostroszczenkę, zajęły Oszmianę i puścili się w pogoń za oddziałem Przeździeckiego. Stoczone zostały tu i owdzie potyczki; oddział pobity rozproszył się, a sam Przeździecki uszedł na Żmudź, gdzie walczył pod rozkazami Gielguda w randze pułkownika. Z korpusem Gielguda przeszedł w granice Prus i życie zakończył w Królewcem na wiosnę 1832-go roku.

Smorgonie uległy konfiskacyi na rzecz skarbu. Rezydencya, dwór—znikły bez śladu.

(DGN)

CZESŁAW JANKOWSKI.



DWÓR W BIEŃCZY. Wygląd obecny. Rysował z natury N. Podberski.





LEBEDZIEW współczesny: rynek w miasteczku i wjazd do dworu. Dobra niegdyś Radziwiłłowskie z kościołem wzniesionym w roku 1476, spalonym doszczętnie w roku 1809 i odbudowanym, oraz ze zborem ewangelickim, który przetrwał do roku 1760. Obecnie jest majątkość Lebedziew własnością Cywińskich. Przez Lebedziew przejeżdżał Napoleon po drodze z Młodzieczna do Bieńczy.

## Trakt Napoleoński.

Smorgonie dzisiejsze to miasteczko u linii kolei Li-bawo-Romeńskiej, pospolite, zażydowane, ale przemysłowe i handlowe, jak mało które na Litwie i Białej Rusi. To Łódź litewska, tylko że przemysł i handel w Smorgoniach dzisiejszych stoją nie na wyrobach lnianych i bawełnianych, ale na garbarstwie. Do stu garbarń wyrabia przeważnie t. zw. „hamburski” towar. Miasteczko liczy do 18.000 mieszkańców, z których chrześcijanie stanowią zaledwie 30 proc. Cerkwie dwie przerobione z kościołów, zamkniętych w 1866 roku. Lat temu pięć otrzymano pozwolenie na wzniesienie kościoła katolickiego, który się atoli dotąd jeszcze buduje. Zważywszy na szybkie i okazałe rozwijanie się miasteczka, jako ogniska przemysłu i handlu, istnieje projekt przeniesienia miasta powiatowego z Oszmiany do Smorgoń.

Dla Napoleona Smorgonie były nie tylko popasem, ale i placówką organizacji wojennej. Miał posterunek swój w Smorgoniach: francuski *commissaire de guerre*, oficer rangi wyższej, mający przy boku swoim deputata z ramienia obywateli miejscowych, Łokuciewskiego. W Smorgoniach był etap furazów i żywności, które zasilano armię. Nie musiało tych zapasów być wiele, w każdym jednak razie postój dla okazałej jeszcze gwardyi cesarskiej oraz dla generalicyi, którą był cesarz wezwał do Smorgoń, mógł być właśnie w Smorgoniach najwygodniejszy. Że jednak wielkie rozprężenie panowało już nie tylko na takich, jak Smorgonie, posterunkach, ale i w całej organizacji wojennej, mamy dowód bodaj w tym jednym fakcie, że o przybyciu Napoleona do Smorgoń nic nie wiadomo — w Oszmianie, gdzie była podprefektura francuska. Podprefektem z nominacyi cesarza był Żaba, marszałkujący powiatowi oszmiańskiemu z wyboru szlachty.

Stanąwszy ze sztabem naczelnym we dworze, zwołał natychmiast Napoleon radę wojenną. Posilono się najpierw za stołem cesarskim, poczem książę Eugeniusz Beauharnais odczytał na głos 29-ty biuletyn. Sam zaś cesarz oznajmił w krótkich słowach, że postanowił opuścić armię i jak najspieszniej podążyć do Paryża.

— Jadę natychmiast — mówił. — Obecność moja we Francyi nieodzowna. Austryę i Prusy utrzymam w posłuszeństwie tylko ja — stanąwszy na czele nowej armii dwustotysięcznej. Wiedzą już o mojem postanowieniu Berthier i Duroc. Podzielają moje poglądy. Murat obejmie po moim odjeździe naczelné dowództwo. Wierzę, że rozkazy jego tak będą słuchane, jak moje, i że zgoda przykładna panować będzie!

Był już ciemny wieczór. Cesarz wysłuchał raportu przybyłego z Wilna do Smorgoń generała

Hogendorpa, czasowego wojennego naczelnika, *gouverneur militaire* na Litwę; ostatnie wydawał rozporządzenia generałowi Daru, obejmujące mu administracyjną władzę w cofającej się armii; zbijał nasuwające się marszałkom wątpliwości co do potrzeby tak nagłego odjazdu cesarza; był przystępny i łaskawy, nawet uprzejmy. Wreszcie, na pożegnaniu — uściskał i ucałował otaczających go marszałków i generałów.

Wezwano do cesarza porucznika polskich szwoleżerów gwardyi, Stanisława Wąsowicza, stojącego popasem w karczmie miasteczkowej wspólnie z wielu Polakami, trzymającymi się własnej kompanii. A byli wśród nich i Dominik ks. Radziwiłł i Eustachy ks. Sanguszko, Wincenty hr. Krasinowski, Ludwik Pać, Józef hr. Kossakowski. Cesarz kazał Wąsowiczowi zbierać się natychmiast w drogę. Towarzyszyć ma cesarzowi do Wilna... Wąsowicz pobiegł do karczmy po płaszcz, a gdy wrócił co tchu do kwatery cesarskiej, zastał już przed bramą zaprzężoną karetę i sanki.



WOLTYZER GWARDYI NAPOLEOŃSKIEJ.  
Według litografii Charleta.

Była wieczorna godzina ósma. Jak wiadomo z wielu opisów, mających za podstawę pamiętnik Wąsowicza, wyruszyły ze Smorgoń trzy karety. W pierwszej jechał cesarz z wielkim koniuszym Caulaincourtem księciem Vincenzy i mamelukiem Rustanem na koźle, w drugiej wielki marszałek Duroc ks. Friaulu i adjutant cesarski, generał Mouton hr. Lobau, w trzeciej pułkownik szaserów konnych gwardyi generał hr. Levebvre-Desnouettes z kamerdynerem cesarskim i dwoma służącymi. Wyprzedzał ciężkie pojazdy cesarskie Wąsowicz, jadący w lekkich saniach z cesarskim berejterem Amodru i przybył też do Oszmiany na godzinę przed Napoleonem.

Posuwano się naprzód wolno, szerokim traktem, wysadzonym brzożami, przecinającym głębokie lasy. W karecie cesarz, otulony futrem, powleczone zielonym aksamitem, spiętem na piersiach, z węgierską, taśmami, w czapie cieplej

też aksamitnej, futrem lamowanej, uszatej — spał.

Za cesarzem wlokła się, usypując drogi trupami, paląc wszystko po drodze, szeroko rozsypana, szarpana na flankach przez kozaków, rozprzężona ostatecznie armia. Pobita, wycieńczona, smagana mrozami, dobywająca się resztkami sił z zasp i zamieci śnieżnych.

Cesarz spał...

Droga była względnie bezpieczna; nic nie wiadomo o tem, że właśnie tegoż wieczora zaatakował znaczny oddział wojsk Siesławina — Oszmianę, ku której zbliżał się orszak cesarski, i jechano wolno. Ciężkie zresztą karety utrudniały szybsze poruszanie się naprzód. Pomknął tylko żwawiej Wąsowicz w lekkich saniach i znikł z oczu...

Dajmy na chwilę zamilknąć — pamiętnikarzom i przez jedną, krótką chwilę przytomnijmy sobie tylko sam historyczny moment znajdowania się hen gdzieś na bezludziu zapadłego kąta, co go nie każdy na mapie Europy odszuka, takiej postaci — jak Napoleon!

Wyobraźmy sobie jakiegoś szlachetkę zaściankowego, wlokącego się nocą traktem smorgońskim i spotykającego nagle trzy suto eskortowane karety... Zjeżdża z drogi, zapada w zaspę śnieżną, koń siadł w śnieg po grzbiet, sam brat szlachcic w śniegu po uszy, ale oczy wybałuszył, jak nigdy w życiu!

I gdyby mu tak kto krzyknął: „Sam cesarz Napoleon jedzie!” Jezus Maryja! A tożby brat-szlachcic zdrętwiał, jak piorunem rażony, i przeciagnęłoby wszystko mimo niego, chrzescząc i łoskocząc i błyskając ogniami latarń i czerniąc się widmowo wśród śnieżnej bieli, a onby nieruchomy, nie czując targania konia, tkwił wciąż jeszcze w zaspie i patrzył... patrzył... za oddalającym się, niebywałym, nie do pojęcia korowodem.

A teraz wyobraźmy sobie, że cesarz ockną się na chwilę w karecie od nagłego jej przechylenia się i przez pół na jawie, przez pół we śnie ma jakby jasnowiedzenie. I że ten kraj, po którym się posuwa, przestał być dla niego na moment jeden tylko terenem strategicznego manewru...

Co ujrzalby Napoleon „przed oczyma duszy?”

Na krótką chwilę stańmy się my oczyma jego duszy. Zwróćmy się twarzą akurat w kierunku z północy na południe i z traktu smorgońskiego wyłóżmy wzrok przed siebie. I znajdziemy się nagle nie w zapadłym, zaiste, kącie, co go dopiero „gwiazda napoleońska” rozświecić przyszła.

Patrzmy, a dopatrzmy.

(LCS)

CZESŁAW JANOWSKI



NOWOBUDUJĄCY SIĘ KOŚCIÓŁ W SMORGONIACH.

teozowania naszego losu. Winniśmy jednak wskazać na pomysłną stronę jego przeznaczeń. Mianowicie otworzył on przed nami szerokie pole podbojów przemysłowo-handlowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym możemy odnieść pewniejsze zwycięstwa, niż te, w których dotąd pokładaliśmy ufność".

Jakim sposobem może się szerzyć cywilizacja polska naprz. w Persyi zapomocą opanowania jej rynku przez perkaliki łódzkie i jak można porównywać tego rodzaju zwycięstwa z temi, w których ojcowie i dziadowie nasi pokładali ufność, — to się wydaje na pierwszy rzut oka zagadką. Rozwiązany ją jednak łatwo, skoro uświadomimy sobie, że pozytywizm i złączony z nim program „wskazań politycznych” przedstawia właściwie ideologię wzrastającej w Polsce burżuazji — światopogląd o tyle postępowy, o ile światopogląd społeczeństw kapitalistycznych jest więcej postępowy, niż feodalny dawnej szlachty.

Przyszedł on w dodatku do nas w dobie, kiedy burżuazja, zwycięska i syta, wyzbyła się tkwiących w niej niegdyś buntowniczych pierwiastków i stała się żądną pokoju i spokoju, niechętnie usposobioną do wszelkich zakłóceń, psujących normalny bieg interesów.

Twórcy wyżej wzmiankowanego programu, jako ludzie szerszego umysłu i niewątpliwie dobrej woli, rozumieli podniosłej całą sprawę, wmawiali w serce kapitalistyczne własne uczucia, spodziewali się znaleźć w niem własne cnoty i żywili nadzieję, że potentat finansowy będzie uważał dywidendę nie za cel, lecz jedynie za środek do bardziej idealnych celów. A chociaż w życiu realnym program ich zwężał się, spłaszczał, stając się bardzo przyziemnym, przemysłowiec był witany aplauzem ogółu, a w heliostrycyce urastał do rozmiarów bohatera.

□□

## Trakt Napoleoński.

### HISTORYCZNE TŁO OBRAZU.

Posuwająca się zwolna nocą grudniową po trakcie smorgońskim ku Oszmianie ciężka landara, wioząca w śnie pogrążonego bohatera z pod Piramid i Jenu, wielkiego nad-człowieka XIX stulecia, defilowała mimo jakby historycznej panoramy o spłowiałych już pod niepamięcią ludzką barwach i konturach, a jednak uchwytnych doskonale dla — zadumy, sięgającej tak przedziwnie w dalekie, bardzo dalekie czasy poprzez współczesnych widowisk ruch i gwar.

Po niwie zaiste niepowседневnej złobit się pamiętny odtąd na zawsze napoleoński szlak...

Wyteżywszy — a nie nadmiernie! — wzrok pamięci na staj jakby kilka zaledwie od widowni napoleońskiej przeprawy przez b. województwo wileńskie, ujrzałoby się majaczące hen tam w dali wschodnio-południowej zarzysy jakichś wielkich, zwaliskowych murów, nie na górze wznoszących się żadnej, jeno starym, bardzo starym obyczajem osiadłych przeciwnie w dolinowe zagłębienie falistej okolicy. W jednym rogu potężnego czworoboku sterczy jeszcze szczerbata kwadratowa baszta, a raczej podnosi się jeszcze w górę na kilkanaście lokci ciężka i niezłomna kamienna jej podstawa, a zaś dotąd w groźnych jej rozwalinach widnieją tu i owdzie otwory okien gotyckich, a pod nimi, u samych fundamentów, spostrzeże się zawalone kamieniami wejście do jakiegoś podziemnego lochu.

I dziś jeszcze, gdy kto z ludzi miasteczkowych — (gdyż liche miasteczko osypało dokola ruiny) — lub kto z przejezdnych znajdzie się przypadkiem w ponurą noc jesienną opodal tej upiornej baszty



ZWALISKA ZAMKU W KREWIE OD STRONY PÓŁNOCNEJ  
Fys. z tab. B. Tomaszewicz.

z tajemniczym, zięjącym pod nią lochem, zegna się i pomyka śpieszniej, nie oglądając się za siebie.

Krewskiego to zamku ruiny.

Do Krewa to, dawno temu, nieskończenie dawno, kazał był Jagiello odesłać z Wilna okutego w kajdany stryja swego, Kiejstuta, i wrzucić go do wieży więziennej warownego zamku. I tam, w onym lochu podziemnym, którego wylot majaczy dotąd poprzez złomy i zielska, piątej nocy po przybyciu do Krewa, Kiejstut, książę trocki, wcielenie ideałów i tradycji Litwy pogańskiej, uduszony został z rozkazu Jagiellowego. Powalili żywe bożyszcze narodu i zadali mu cios śmiertelny wielk księżcy pokojowi: Proksza, Mostew, Kuczyk i Lisica. Jako to zapisane jest w latopisie supraśkim następującymi słowy: „I tamo w Krewie piątyja noszezi kniazia wielikoho Kestutija udawili komorniki Jahajlowy: Proksza, szto wodu dawał jemu, a byli inyi: Mostew brat a Kuczik a Lisica zibientaj. Takow konce stałsia jemu, kniaziiu wielikomu Kestutiju...”

Kiejstut padł. Z nim razem ginie stara Litwa pogańska, dualizm władzy wielkksiążęcej ustaje, Jagiello jest panem samowładnym i może państwo swoje skierować na jakie mu się podoba tory.

Tak w pół tysiąca lat potem, nocą, w przekopach fortecznych zamku Vincennes, zamordowany został książę d'Enghien z rozkazu innego możnowładcy, aby pogasły nawet iskry przelotne wszelkiego we Francyi legitymizmu i aby żadne starofrancuskie tradycje monarchiczne nie brózdziły już więcej imperatorowi, co wiedzie Francję na tory — dotąd jej nieznanę!

I czyś ty, imperatorze, z karocy swej, wyruszającej ze Smorgoń, nie miał wzroku utkwionego — w Krewa? Nie! Tyś dojrzeć nie mógł widmowej baszty krewskiej, gdzie w chrapliwym jęku Kiejstuta skonała stara Litwa. Za daleko — dla ludzkiego wzroku! Ale dla myśli ludzkiej — tak blisko! Aleś ty, imperatorze, nie wpatrywał się w stronę Krewa ani oczyma, ani myślą. I ty dopiero — aż po Waterloo, gdy generałowie zaklinać cię będą, abys raz jeszcze spróbował szczęścia, rzucisz ręką i głową i zawołasz: „Nie! Nie! Gwiazda moja zgasła. *J'ai mécontenté le peuple!* Narodu ściągnąłem na siebie gniew!”

A ziemia, godna... Napoleona, dźwigała go w odwrocie z pod Moskwy! Na ziemi tej — tak, na odległość jakichś paru od widowni zegnania się z armią cesarza — dokonany przecie był — przed wiekami — akt potężnej wagi dla całego wschodu Europy, jeżeli nie dla całej Europy.

A działo się to znowuż na zamku w Krewie, w dzień Wniebowzięcia Maryi Panny, w sierpniu 1385 roku. W dniu tym Jagiello przyjmował w czasowej rezydencji swojej krewskiej poselstwo z Polski, cześnika krakowskiego Włodka z Ogrodzieńca, kasztelana zawichostskiego Mikołaja Bogoryę, Krysztyna z Ostrowa i innych dygnitarzy, i mając przy boku swoim książąt krwi wielkksiążęcej: Witolda, Skirgiełłę, Korybuta i Langwena, podpisał wielkopomny układ, wiążący Litwę z Polską. Zobowiązał

się litewskie i ruskie ziemie na czasy wieczne do państwa polskiego przyłączyć, *terras suas Lithuaniae et Russiae Coronae Regni Poloniae perpetuo applicare.*

Nie w Horodle, nie w Lublinie rzecz się stała... jeno — o czem pamięć zatarała się powoli — unia Polski i Litwy dokonana była faktycznie w Krewie. Opodał — „napoleońskiego” traktu. Na ziemi, zwanej do dziś dnia oszmiańską od starodawnej nazwy powiatu, a która też — aby użyć nieco tylko śmielszej hiperboli — i Jagiellonów nam wydała. Jagiellonów? Być-że to może? Nie inaczej! Rzućmy okiem na pierwszą lepszą szczegółową mapę. W okolicy Krewa znajdziemy snadnie — Holszany. Holszany? No, więc — co? A oto... to, że z tych to właśnie Holszan, z prastarego gniazda udzielnych kniazów Holszańskich, zwanych Algimuntowiczami, wziął bezdzietny król Władysław Jagiello czwartą żonę, Sońkę (Zofię), z której doczekał się szczęśliwie potomstwa. Księżniczka Holszańska, królowa polska, pani, jak pisał o niej Długosz, rzadkiej pobożności, ale zarazem i niepospolitej... rozrzutności, wyniosłego serca a niestałego umysłu, była tedy... matką Jagiellonów.

Tak, tak!... Umysł, ochotny do mistyczno-metafizycznych dociekań, skłonny byłby do upatrywania nadprzyrodzonego zrzędzenia w przeciąganiu Napoleona akurat przez widownię tak pełną najdosłojniejszych wspomnień i tradycji. Czemu właśnie wypadła mu *tedy* droga? Zaiste chyba dlatego, że imperatora nie prowadzić przecie jakimis z pod ciemnej gwiazdy zakamarkami. Tedy imperatora wiódł Los naprawdę wielkim, naprawdę wielkopomnym traktem... Jak przystało!

A wybiegłszy z pod Smorgoń względnie niedaleko, mogła lotniejsza nieco imaginacja zaznać zaiste wrażeń wcale suggestywnych, krążąc po takich miejscowościach okolicznych, jak np. Łosk, Boruny, Bijuciszki, zatrzymując się na chwilę wzdłuż samego traktu napoleońskiego na Solach, Żupranach, Krakówce... <sup>1)</sup>

Gdy mimo Sól przejeżdżał Napoleon, odbywała się właśnie egzdzywiza tej wcale okazałej ziemskiej fortuny impana Stanisława Poźniaka, a samo fundum obejmowali w posiadanie najuciążliwsi kredytorowie, Sobańscy.

□□

Nad miasteczkiem górował kościół, odbudowany przez Poźniaków na miejscu spalonego podczas zaciętej pod Solami potyczki wojsk kościuszkowskich z rosyjskimi, a byłt o już trzeci z kolei kościół erygowany w Solach, gdzie kościół „rzymski” wznosił się w 1544 roku, gdzie kościół stawał powtórnie Janusz Kiszka, wojewoda połocki, ostatni z rodu słynnych magnatów, dziedzic ongi Sól. Dziś dobra sołskie, przeszedłszy różne losy koleje, lat temu 30—40-tu kipiące jeszcze życiem towarzyskiem całego okolicznego zie-

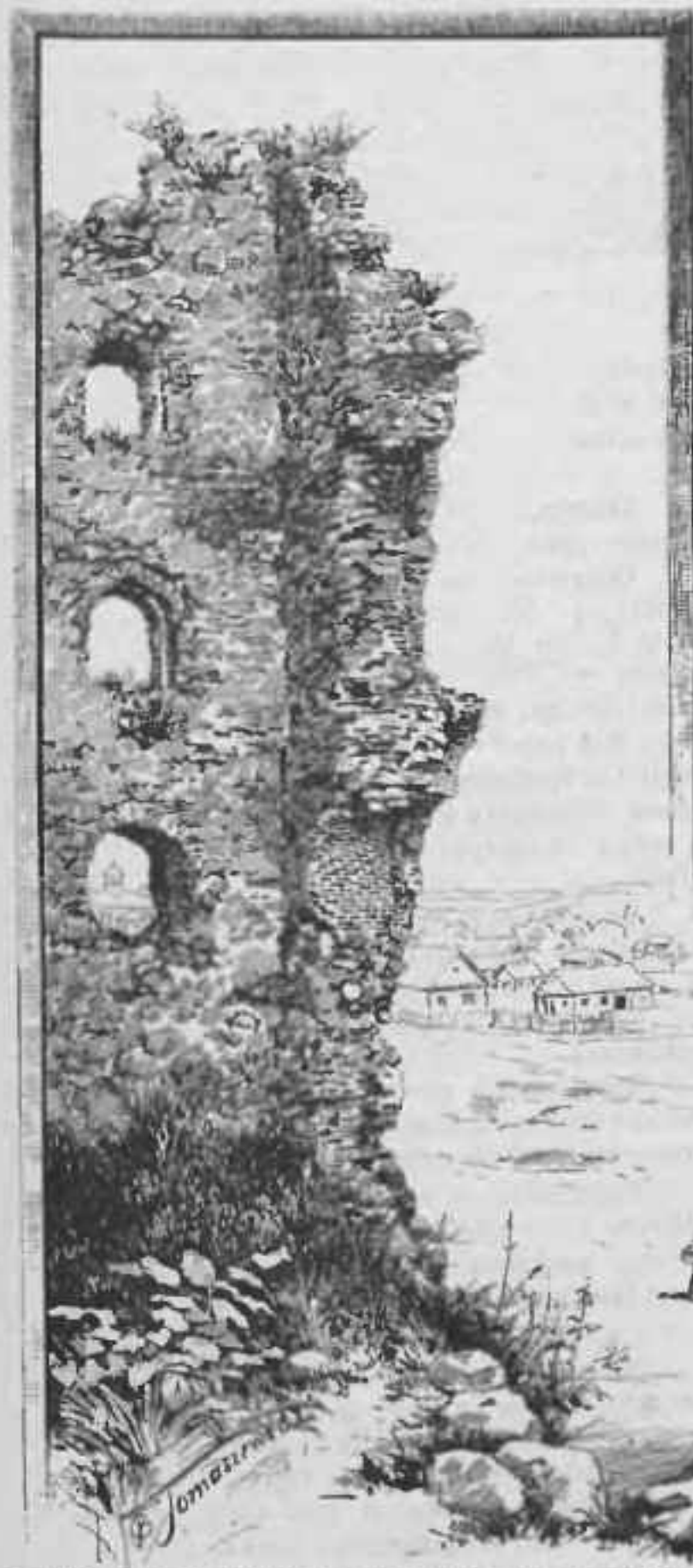
<sup>1)</sup> B. Mapkę traktu napoleońskiego podaliśmy w zeszytach „Tygodnika” z dnia 23 grudnia 1911 roku.

mianstwa polskiego, własnością są obecnie generała Iwanowa. Na równinie, przeciętej linią kolejową, co też i trakt napoleoński krzyżuje w tym miejscu, widnieje z daleka nad drobnym miasteczkiem kościół drewniany, co go (czwarty z kolei) wznosił nieszczęsnej pamięci praelat Żyliński, głośny swego czasu administrator wileńskiej Ostrejbramy i renegat, podczas przebywania swego na probostwie w Solach. Kiszkiwie... Pożniakowie... wojska kościuszkowskie... Napoleon... praelat Żyliński... gospodarka, bardzo staranna, generała Iwanowa... Zaiste! Czegoż nie znaleźć na małym nawet skrawku ziemi — u napoleońskiego traktu!

A patrzmy jeszcze dokoła. — patrzmy.

Oto poniżej historycznej Bienicy—Łosk, dziś duża wioska, rzucona między kotliny kilku gliniastych wzgórz. Jenó hystriejsze i wprawniejsze oko spostrzeże tuż u wioski, sypane ręką ludzką, stare „horodyszczę”, gdzie musiała wznosić się przed wiekami jakaś okazała rezydencja.

I była to istotnie rezydencja nie byle jaka, gdyż „kniahini Łoskiej”, Anny, wdowy po Korybutowiczu z pnia Olgierdowego, księżu na Nowogrodzie Siewierskim. Niektórzy historycy dowodzą uparcie, że już w połowie XV wieku wygaśli byli do cna Korybutowicze *vel* Korbutowicze. Nie spierajmy się. Mogła przecież Kniahini Anna przeżyć... ród cały męża swego łącznie z nim razem i w 1480 roku wzniesić w Łosku kościół. Prawda? Co jednak godniejsze przypomnienia, to to, że krajczy litewski, Jan Kiszka, założył w Łosku drukarnię, co podczas istnienia swego do roku mniej więcej 1587 zdążyła wytłoczyć i w świat pusić ilość niemałą dzieł kalwińskich i socyniań-



ŚCIANA BASZTY ZAMKU KREWICKIEGO, pod którą znajduje się loch wstęplenny Kiejstuta. Rysował ze zrebu zwalisk, latem 1899 roku, B. Tomaszewicz.

skich. Z drukarni w Łosku wyszły dzieła niektóre Andrzeja Wolana, przekład Nowego Testamentu, dokonany przez Budnego. Drukarnia w Łosku nie tylko oddała wielkie usługi „heretykom” litewskim; była to ważna swego czasu placówka umysłowego ruchu na kraj cały...

A sam Andrzej Wolan, najzarliwszy krzewiciel kalwinizmu na Litwie, autor znakomitego dzieła „De libertate politica”, gdzie pisał swoje głośne polemiki ze Skargą i Jezuitami, gdzie spędził większą część pracowitego żywota, gdzie poseł cesarski gościł „pod strzechą” Wolana i gdzie Wolan życia dokonał?

Przebiegnijmy znów oczami okolice napoleońskiego traktu, a znajdziemy opodal Krewa—Bijuciszki. W tych to Bijuciszkach, niedużej posiadłości ziemskiej pod Borunami, rezydencję swoją miał Andrzej Wolan i przyjmował tam najwybitniejszych jednowierców, iście pielgrzymujących z kraju i zagranicy — do znanych swego czasu całemu światu Bijuciszek.

Wyszły Bijuciszki z rąk Wolanów dopiero w połowie XVIII wieku.

A Boruny? Czyliż wspomnienia A. E. Odyńca nie sięgają roku 1812-go? Szkoły boruńskie, które tylu uczniami swoimi najsprawiedliwiej szczyścić się mogły, szkoły unieśmiertnione we „wspomnieniach” Odyńca i w „Obrazach” Chodźki, dawno istnieć przestały. Kościół obrócono na cerkiew, lecz ostał się kształt dawny wspaniałego gmachu. Obraz cudowny Matki Boskiej Boruńskiej pozostał w cerkwi nieruszony z miejsca i lud rzymsko-katolicki teraz, jak dawniej, pielgrzymki doń odbywa...

Wróćmy na trakt napoleoński.

Karoca cesarska musiała już dotrzeć do Żupran i, zażywszy krótkiego popasu na połowie drogi, sunie się dalej ku Oszmianie...

Żupran, na jedenastej od Oszmiany wiorście, dziś małe miasteczko z folwarkiem opodal, będącym atynencją dóbr Nowosiółkowskich hr. Czapskiego, stanowiły przed wiekami nader pokazną własność ziemską, nadaną jeszcze w 1497 roku przez Witolda wojewodzie wileńskiemu, magnatowi nielada, Wojciechowi Moniwidowi *vel* Montwidowi. W Radziwiłłów przeszły władanie w jakie sto lat potem i pod aktoratem radziwiłłowskim były jedną z najmocniejszych placówek wyznania helweckiego na Litwie. Zbór kalwiński, istniejący już w Żupranach od 1595 roku, przetrwał do początku XIX wieku. Wogóle w tej stronie kraju biegł szlak napoleoński na sporej przestrzeni bytami ziemiami dysydenckich polskich możnowładców, jako żeśmy mijali zbory ewangelickie w Lebidziowie i w Smorgoniach, mijamy oto zbór żuprański, a i za Oszmianą jeszcze przemknijmy się pobrzeżem byłego dziedzictwa Dorohostajskich, rezydujących niegdyś w tak zwanej Murowanej Oszmianie.

Za czasów radziwiłłowskich nosiły Żupranę imponującą nazwę: „hrabstwo Żuprańskie”, o którego rozległości da miarę ocenienie tych dóbr w roku mniej więcej 1815-ym—sześćset tysięcy złotych polskich. Gorliwą otaczał Żupranę opieką Bogusław Radziwiłł, głowa swego czasu kalwinów litewskich, aczkolwiek jako rezydujący w Królewcu (z urzędu swego generalnego księstwa Pruskiego gubernatora) rzadko tylko mógł zajrzeć w te strony. Żupranę zresztą puszczone były w zastaw, a że się o „oną” zastawę ubiegano, nie zdziwi się nikt, zważywszy np., że od zahipotekowanej na Żupranach sumy 91.500 złotych miał w 1750 roku któryś z zastawników 23.000 złotych rocznego dochodu prawie że *netto*, albowiem chłopstwo, siedzące na 795 włokach „hrabstwa”, dostarczało panu zastawnikowi w ciągu roku ekonomicznego 25.037



OKNO ZAMKU W KREWIE.

robotników obojej płci. Tedy wnosić wolno, że nawet spustoszenie Żupran przez wojska Karola XII w roku 1702 musieli sobie pp. zastawnicy sowiecie powetować.

„O Żupranach to *referro*—pisał w marcu 1702 roku administrator żuprański, imię pan Trzebiński, do kaznodzieli zboru ewangelickiego w Słucku— że już i pisać i mówić i radzić o nich nie można, bo *afflictio afflictionem sequitur*, gdyż nie dość, że były *radicer* spustoszone i lokacją chorągwi węgierskiej piechoty obciążone i niemal do końca ścieśnione, ale jeszcze wydano z Żupran 5000 złp. na chorągiew wołoską, której sam rotmistrz, niejakiowyś pan Pisarzewski, tam z niemałą asystencją zjechawszy, do ostatka wszystko zrujnował i cokolwiek trzymało się w chatach ludzi — rozproszył. My tu w ustawicznych zostawając trwogach i na takowe patrząc dawastacye, musimy *ingemiscere*. Ach, *Domine Jesu, in quae nos reservasti temporal!*”

A jakżeby jeszcze boleściwiej jęknął imię pan Trzebiński, jeśliby dożył roku 1812-go i napoleońskich wojsk na Żupranę inwazyi!

(DGN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

### W noc zimową.

Zimowej baśni białej ośnieżone pola i roziskrzone gwiazdy na chmur ametyście, nawoływania dziwne w wichru ostrym świeście, i ogień na kominku i samotna dola...

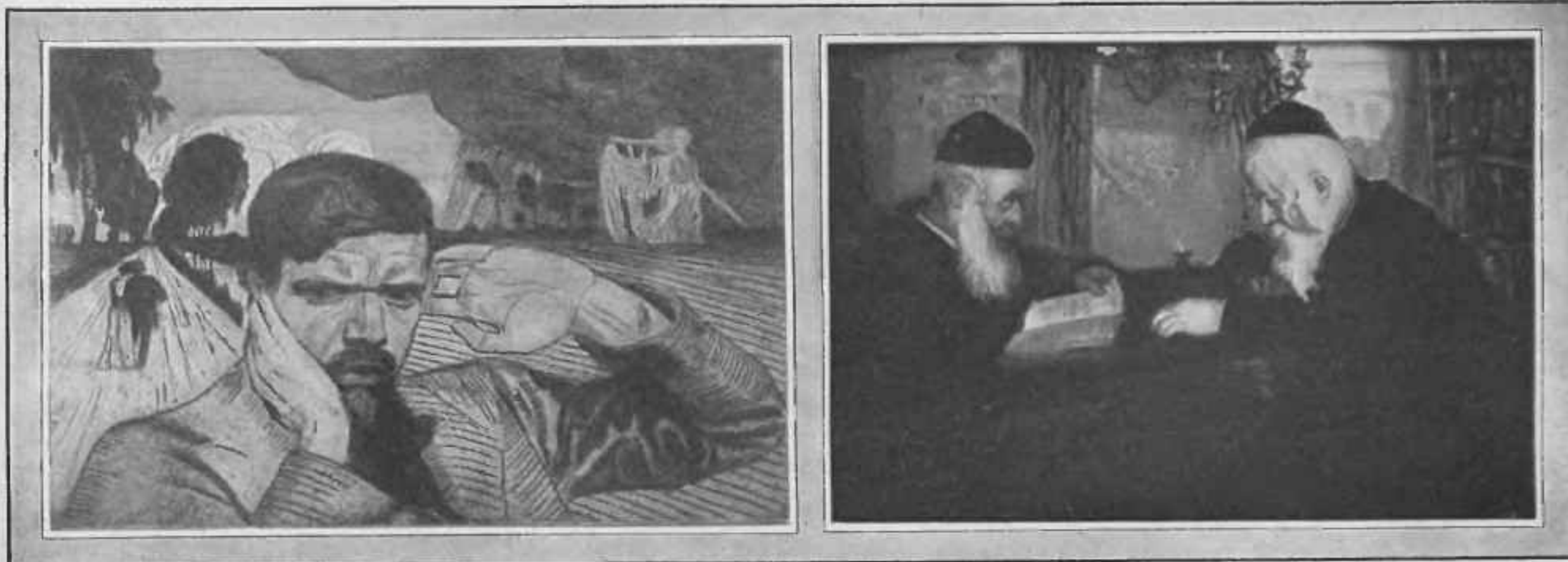
Zimowej baśni białej czar się rozokola— leć jakieś wspomnienia, jak pozółkłe liście... Starzy, dobrzy druhowie, skąd tutaj przyszliście? Krasnoludki, królewny, o baśni soko'a!

Po latach, w noc zimową, dziś mi przychodzie, snów dzieciństwa mojego słodcy towarzysze...

Wiem, co chcecie zapytać... lecz nie chcę, nie słyszę— nie ruszcie chmur, co legły na serca błękitnie...

Ogień gaśnie... świt szary wkrąg się rozprzestrzenia... odejdziecie... życie woła... nie budźcie marzenia.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.



AUTOPORTRET W. SKOCZYŁASA (AKWAFORTA)

RABBI I JEJEGO SŁUGA

A. MARKOWICZ

## Zbiorowe wystawy

A. Markowicza i W. Skoczylasa

W lwowskim Tow. przyj. sztuk pięknych otwarto dwie bardzo ciekawe zbiorowe wystawy. Pierwsza to wystawa Artura Markowicza, przynosząca całe mnóstwo doskonałych typów żydowskich i obrazy z ghetta. Markowicz, jako artysta, uznany zagranicą, mało jest stosunkowo znany u nas; jego lwowska wystawa zbiorowa ukazała talent zrównoważony, pewny, doskonale opanowanie formy, co wraz z szczerością, bijącą z jego płócien, składa się na całość o dużej wartości artystycznej. Jako malarz Żyda, stoi on o wiele wyżej niż taki, np. Wachtel, jest głębszy, bliższy syntezy duszy Żyda, specjalnie galicyjskiego, tego z proletaryatu, zatopionego w interesach i Talmudzie, przypominającego cokolwiek bohaterów cudnych powieści Orzeszkowej.

Galerya lwowska dobrze zrobiła, kupując jeden jego bardzo typowy obraz nędzarzy żydowskich, zebranych nad Wisłą w Krakowie. Prócz obrazów z życia żydowskiego, wystawił artysta cały szereg ciekawych dzieł, powstałych podczas jego pobytu w Holandii.

Nie mniej interesującą jest wystawa zbiorowa Władysława Skoczylasa. Na pierwszy plan wybijają się przedewszystkiem pod każdym względem doskonale rzeczy graficzne, tak stosunkowo mało spotykane na naszych wystawach. Skoczylas, który zeszłego roku wziął pierwszą nagrodę na konkursie graficznym (za górala, reprodukowanego w *Tygodniku*), osiągnął już duży stopień doskonałości w technice graficznej, posługuje się rylcem z śmiałością, pewnie i subtelnie, umie wydobyć z płyty natężenie światła, plastykę i życie, wszystko logiczne w liniach, bardzo dobre w kompozycji, pomyślane ze smakiem. Grafika polska, do której obecnie coraz liczniej zabierają się nasi artyści, pozyskuje w Skoczylasie siłę, na którą należy zwrócić pilniejszą uwagę. Ta jedna, jeśli się tak można wyrazić, z najbardziej demokratycznych sztuk (ze względu na taniocść), której z takim zamiłowaniem oddawali się zawsze najwięksi artyści świata, powoli i u nas zaczyna zdobywać sobie prawo obywatelstwa



WYKROTY (AKWAFORTA)

W. SKOCZYŁAS



GÓRAL

W. SKOCZYŁAS

i ruguje z mieszkań naszych barbarzyńskie oleodruki, droższe od niej i w dodatku sprowadzane z zagranicy. Dlatego tem milej należy powitać takie wystawy, jak Skoczylasa, który nie ustaje w pracy nad tą gałęzią sztuki i daje rzeczy godne powieszenia w najwytworniejszym salonie.

O rozległości talentu młodego artysty świadczy pomieszczony na tej wystawie cały szereg bardzo dobrych akwael, czystych w kolorze, nieraz bardzo subtelnym, nienagannych przeważnie w rysunku, którego Skoczylas bardzo pilnie przestrzega — oraz kilimy, wykonane w Zakopanem podług jego projektów.

Wogóle Skoczylas wybija się z pomiędzy najmłodszych artystów ruchliwością, obejmowaniem szerszych horyzontów twórczych i talentem świeżym, dużo zapowiadającym.

Jego wystawa obudziła znaczne zainteresowanie i ruch w lwowskim Towarzystwie.

A. S.

## Trakt Napoleoński.

□□□

W dobie inwazyi francuskiej na Żuprany były już te dobra, wciąż „hrabstwem” zwane, w posiadaniu — Czapskich tym rzeczy składem, że przyrodnia siostra ks. Radziwiłła Panie Kochanku, Weronika, wniosła Żuprany wespół z innymi dobrami wianem mężowi swemu, Franciszkowi Stanisławowi von Hutten-Czapskiemu, wojewodzie chełmińskiemu, senatorowi, następnie żarliwemu konfederatowi barskiemu, przyjacielowi i stronnikowi księcia „Panie Kochanku”. Objął atoli w posiadanie swoje hrabstwo Żuprańskie dopiero syn Stanisława Franciszka, hrabia Karol Czapski, w rok mniej więcej przed wtargnięciem Napoleona do Rosyi, to jest w maju 1811 roku. Wydzielił mu posag matczynej, doszedłszy do pełnoletności, ostatni w prostej linii ordynat nieświeski, Dominik książę Radziwiłł.

Przejeżdżał tedy Napoleon w grudniu 1812-go roku przez Żuprany, co tylko wyszłe z posiadania

majora gwardii cesarskiej, z którym przed chwilą obcował w Smorgoniach, ile że ks. Dominik kampanię roku 1812-go odbył całą w szeregach wojsk napoleońskich i niemal stale w pobliżu znajdował się cesarza, a zaś dlatego nowy dziedzic Żupran nie powitał „na swoim gruncie” popasającego w miasteczku Napoleona, że Karol hr. Czapski, mianowany przez cesarza dyrektorem skarbu departamentu mińskiego (taką nazwę otrzymała w r. 1812 gubernia mińska), znajdował się w Głębokiem. Tam, w głównej czasowo kwaterze Napoleona, pozostała kasa i przewiezienie jej z Głębokiego do Warszawy powierzył był cesarz hr. Czapskiemu, którą to misję dziedzic Żupran, pomimo trudności i niebezpieczeństw, dopełnił szczęśliwie.



DOMINIK KS. RADZIWIŁŁ. Według lit. Duray'a.

Co zaś do Dominika ks. Radziwiłła, to niepospolity ów młodzian, słusznie zwany „Krezusem litewskim”, pełen ognia i życia, serdeczny, rozrzućny a awanturniczej odwagi, po życiu iście szalonym rehabilitujący się pełną ofiarą mienia i życia „dla ojczyzny”, po chlubnym odbyciu kampanii 1812-go roku, wytrwał, jak wiadomo, niezłomnie pod sztandarami napoleońskimi i, ranami okryty pod Hanau, życia zaledwie rozpoczętego dokonał jesienią roku 1813-go w małej miejscinie francuskiej Lantheron, dokąd go był przewiózł towarzysz broni i wierny druż, generał Wincenty Krasieński.

Zaś Karol hr. Czapski po zawierusze napoleońskiej zajął się gorliwie urządzeniem ziemskiej fortuny swojej. Nie w Żupranach, ale w pobliskim folwarku Nowosiółki założył wielkopańską rezydencję, okraszoną następnie przez wnuka jego, hr. Adama, okazałym pałacem (gdzie dziś hr. Czapscy stale przebywają), a w miasteczku zaczął wznosić kościół, którego budowę atoli ukończył dopiero niedawno Adam hr. Czapski. Sam hr. Karol, podczas gdy pod-żuprańskie Nowosiółki „powstawały”, mieszkał stale w innych dobrach swoich, w Stańkowie, w gub. mińskiej, marszałkował szlachcie powiatu mińskiego, a przez lat kilkanaście sprawował urząd kuratora szkół gubernii mińskiej.

Cofając się na Wilno wojska napoleońskie zdewastowały Żupranę chyba może gorzej jeszcze, niż szwedzko-polskie w roku 1702. Spalono ogółem budowli tak we dworze, jak po wioskach, przeszło sto osmdziesiąt, a według obliczenia hr. Czapskiego, którego zaraz na wstępie do dziedzictwa Żupran spotkała tak dotkliwa katastrofa majątkowa, szkód i strat wyrządziła w hrabstwie Żuprańskim nawala francuska na sumę ogólną 54.000 rb. Miały się też w Żupranach w grudniu roku 1812-go rozgrywać sceny okropne. Ségur

w swoim pamiętnikowym opisie kampanii rosyjskiej opowiada, że właśnie w Żupranach („à Joupuranou”) zmarznięci do kości żołnierze francuscy zapalali domy, aby się rozgrzać przy tych improwizowanych ogniskach. „Blask płomieni—pisze—zwabił nieszczęśliwych, których siła mrozu i ból rozdrażnił aż do szaleństwa; przybiegali, jak opętani, zgrzytając zębami i wybuchając piekielnym śmiechem i — rzucali się w ogniska, ginąc tam w konwulsjach straszliwych. Ich zgłodniałi towarzysze patrzyli na to bez zgrozy. Niektórzy porywali z ognia oszpecone okrutnie i nadpalone ciała i—co prawdą jest, nie ulegając zaprzeczeniu — niesli do ust tę obrzydliwą strawę”. Nie chce temu szczegółowi dać wiary Marbot, utrzymując, iż żołnierze napoleońscy nie potrzebowali wcale zapamiętywać się aż do... ludożerstwa, albowiem, zwłaszcza po wkroczeniu cofającej się armii na terytorium Litwy — jada i żywności nie brakło. Prawda — pisze — że książę Bassano i generał Hogendorp zaprowiantowali przedewszystkiem Wilno, troszcząc się mniej o składy żywności gdzieindziej, ale dowódcy poszczególnych oddziałów wojska urządzali na własną rękę wyprawy w okolicę po żywność i furaz, tak zwane *maraudes armées*, obławiając się znakomicie...

Że z drugiej strony cofająca się w bezładzie armia nie była z dostateczną energią napastowana przez oddziały wojska rosyjskiego, uwiązujące się przed nią, za nią i po flankach, przypisać należy srogości mrozów. Dochodziły do 30 stopni Reaumur! Nietylko ludzie, ale i konie odmawiały posłuszeństwa.

Cytowany już de Laugier, oficer gwardii księcia Eugeniusza Beauharnais, opowiada w pamiętniku swoim, że ciągnący za Napoleonem ze Smorgoni do Oszmiany książę wice-król włoski popasał w Żupranach, rozkwaterowawszy się w kościele (oczywiście w zborze ewangelickim, gdyż w r. 1812 istniała w Żupranach tylko marna kapliczka rzymsko-katolicka, drewniana). Dokonany apel wykazał, że z całego korpusu ks. Eugeniusza pozostało 500—600 żołnierza zdolnego—wlec się dalej... Żony pułkownika Dubois oraz pewnego komisarza wojennego z dywizji generała Pino, co z Paryża przybyły do Moskwy, jechały teraz z powrotem z cofającą się armią. Wyprawiono je ze Smorgoni w saniach, w dobrych futrach i otulone — sianem. W Żupranach pułkownik i komisarz wybiegają na spotkanie żon. Patrzą: zmarzły! W saniach jadą dwa skostniałe trupy.

Inny „obrazek” kreśli w pamiętniku swoim J. Kar-



TRAKT NAPOLEOŃSKI między Żupranami a Oszmianą, obecnie szosa.

czewski, przebywający w Oszmianie akurat podczas przejazdu Napoleona, późniejszy obrońca i pełnomocnik Stefania ks. Radziwiłłówny w procesie jej o dobra posagowe. W Oszmianie — jak się wyżej napomknęło — nic nie wiadomo, nawet w samej podprefekturze, o kłęsce armii, o cofaniu się jej w opłakany stan i o przybyciu już do Smorgoni Napoleona. Budziły tylko „sensację” przejeżdżające raz po raz przez Oszmianę „figury” — zdawało się — tylko... ucieszne! „Tak np. — opowiada Karczewski — razu jednego, w końcu listopada, spostrzeżliśmy wjeżdżającą w ulicę Żuprańską karetę dziwnej wielkości. Staroświecka, poszostna, bardzo wysoka, biała malowana. Szła, zdaje się, własną siłą, gdyż ledwie znać było dwoje koników włościańskich, którymi kierował tajemniczo żołnierz siedzący pod kozłem (provincjonalizm litewski, zamiast: „pod kozłami”) na skrócie, poganiając je po francusku albo też po włosku, to jest, zamiast ćwiczenia, porąc prętem w zadek, od czego te nieszczęśliwe stworzenia w czasie gorącym toczone były przez robaki, mnożące się w ranach. Słowem, mieliśmy arcypiękny przykład zagranicznej cywilizacji... Wciągnąwszy się tedy na rynek, stanął, wylazł z pod kozłów, otworzył portyercę, z której wylazł ogromny mężczyzna,



ŻUPRANY. Trakt napoleoński miasteczko przecina, zwraca się na dalszym planie nieco w prawo, wysadzany tu i ówdzie jeszcze brzoziami i białymi ku Smorgoniom. Na lewo kościół, wzniesiony niedawno sumptem hr. Czapskich.

odziany w jubkę kobiety rosyjskiej, której stan był mu pod pachami. Powyciągawszy się trochę, ten pan kareciany kazał żołnierzowi kupić kilka obwarzanków i, włazszy z nimi do karety, ruszył dalej drogą ku Wilnu. Śmieliśmy się, bo nie wiedzieliśmy, co to znaczy”.

Inny obrazek.

„Tuż przed Napoleonem — opowiada Karczewski — uciekał ks. Józef Poniatowski. Będący wówczas w Oszmianie pułkownik Paszkowski, znajomy księcia, wzięwszy nas z sobą, poszedł do niego. Widzieliśmy tedy tego bohatera, ale w stanie bardzo smutnym. Miał głowę zawiązaną i rękę na temblaku. Był już dość siwy, a od spracowania i niewczasów mocno osłabiony i poźółkły. Nimesmy doszli do niego, lokującego się w domu Chądzyńskiego, na lewej ręce, w długim przedpokoju, leżało na podłodze wielu młodych oficerów, towarzyszących księciu, jako ks. Sanguszko i inni. Zmęczeni nagłym biegiem w czas zimny, dopadłszy kwatery ciepłej, jak kto mógł, ułokował się i smacznie zasypiali na gołej podłodze. Paszkowski, pogadawszy na osobności z księciem, pożegnał go razem z nami i odszedł, a księżę ze swą swoją niehawem ruszył dalej”.

Po przejechaniu Napoleona przez Oszmianę, gdy gruchnęła wieść o tem, co się dzieje, Karczewski schronił się na wieś, w okolicę, do pod-oszmiańskich swoich Bieniun.

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

## Trakt Napoleoński.

Widać z pamiętnika Karczewskiego, jak obu stronami traktu napoleońskiego płynął odwrót armii francuskiej i jak przez zimę jeszcze całą przeciągały krajem to bandy maruderów, to oddziały wojsk rosyjskich, tropiące niedobitków.

Raz po raz zacierali do Bieniun kozacy, „trzęsąc” dwór i szukając Francuzów, to znowuż



ORLY NAPOLEOŃSKIE W ODWRÓCIE Z POD MOSKWY.

tylko dla rozgrzania się i posilenia. Wielu z nich proponowało nabycie bardzo nieraz pokaźnego „lupu”, z którym kozak nie wiedział, co czynić, i radby go wymienić na rubli kilka, które mu się bardziej przydadzą. Tak np. opowiada Karczewski, że pewien kozak chciał na raz zbyć za 15 rubli „niemalę futerałik, napelniony samymi brylantami”. Niestety jednak, w zdewastowanych Bieniunach kasa gospodarza domu tak pusta była z kretelem, jak jego spiżarnia i spiżarnia...

„Dnia pewnego wieczorem — zapisuje Karczewski — nadjechało trzech kozaków. Jeden z nich, pokiereszowany, z roztrzępaną od blizn brodą, będąc pół pijany, był bardzo złośliwy. Nie zlącąc z konia, wywołał mnie z izby, a nalajawszy się do woli, kazał kozakom zrewidować mój dom, azali nie przechowuję w nim Francuzów. Kozacy, przechodząc mimo mnie, szepnęli do ucha, żebym się nie trwożył, a przygotował dla oficera butelkę wódki, to on się ulagodzi. Był to człek złośliwy i pijący, ale, jak o nim mówili kozacy, „chrabryj”. Jakoż po obejrzeniu domu i nie znalezieniu Francuzów, oficer zsiadł z konia i zabrał się nocować. Postawiłem przed nim gorzałkę, siedliśmy za stołem, a on mi w poufaleści pokazał bardzo piękne brzytwy. Siedm sztuk było zwirowanych, w złotej oprawie i w futerałiku. Podobaly mi się tak dalece, że mu zaproponowałem, aby mnie one sprzedał.

Odpowiedział mi, że chętnieby to uczynił, ale musi z nich zrobić prezent dla adjutanta pułkowego. Dałem mu więc spokój. Wtem pociągnął mnie ktoś za rękę. Była to służąca z piekarni (prowincjonalizm litewski; ma znaczyć — z izby, gdzie jada a czasem i sypia czeladź). Wzywała mnie, abym tam szedł. Poszedłem i jakież okropny znalazłem widok! Przy 30 stopniach mrozu człowiek nagi, mający tylko na sobie majtki płócienne i jakieś na nogach z onucz (szmaty płócienne, zastępujące skarpetki lub pończochy) opięcie, stojąc przy piekarnianym piecu, trzymał w objęciu słup jego i na zblizających się kłapał zęba-

mi. Człowiek nie stary, dość przystojny, z czarnym włosom na głowie i takimiz oczyma... Wraz tedy powróciwszy do mego kozaka, prosiłem, aby obaczył, jakie nasze położenie, kiedy mimowolnie w domach naszych mieć musimy Francuzów. Posłał swoich kozaków obejrzeć nieszczęśliwego. W majtkach znaleźli i zabrali u niego kilka napoleondorów. Nie wiem, co z nim zrobili, gdyż mię tegoż czasu spotkał drugi ambaras.

„Była w starym domku kuchnia, od sieni ścianą oddzielona, z wejściem od tyłu. Dano mi wiedzieć, że tam przyszedł raniony żołnierz polski. Pobiegłem do niego i aktualnie (prowincjonalizm litewski; ma znaczyć — rzeczywiście, istotnie) znalazłem okropnie ranionego, gdyż mu nawet jelita wychodziły. Zapytałem, co się z nim stanie, kiedy za ścianą są kozaki? Odpowiedział, że mi nie zrobi kłopotu, tylko prosi opatrzyć ranę. Opatrzyłem tedy kompresami ranę. Dałem dla okrycia się jakiś

worek, będący pod ręką, i wyprawił: n tylnymi drzwiami. Co się z nim stało? Bogu wiadomo. Znajdowano wiosną wiele trupów po jamach warzywnych (dla przechowywania warzyw przez zimę) we wsi — i gdzie ich jeszcze nie było!”

A senator Ogiński, wracając do swego Zalesia traktem Napoleońskim wczesną wiosną roku 1814, oglądał jeszcze — dwa lata bez mała po przejściu Francuzów: wioski całkiem bezлюдne, po części spalone, dwory zrabowane i porujnowane, resztki kości ludzkich walające się po krzakach, tu i owdzie po rowach przydrożnych — trupy, zasypane tylko ziemią, i owdzie sterty popalonych ciał.

Nie, — pisze — zgola żadnej nie było przesady w opowiadaniach tych, co świadkami byli nieszczęsnego odwrotu! Kraj, którym jechałem, jeszcze wyglądał, jak pustynia.. *Le pays que je traversais presentait le tableau d'un desert.*

### Z OSZMIANY DO WILNA.

Do Oszmiany przybył Napoleon o północy z 5-go na 6-ty grudnia, w mróz siarczysty.

Nie spodziewano się go. Tem mniej, iż co tylko zaatakowane było miasteczko przez silny oddział kawalerii Siesławina. W utarczce atoli nie brał udziału garnizon oszmiański, złożony z Niemców, pod dowództwem generała rodem z Niemiec południowych. Odparli szturm na Oszmianę ułani polscy, znajdujący się akurat w okolicy, a, dokonawszy dzieła, stanęli kwaterą w mieście, wzmacniając załogę,

aby mogła stawić czoło ponownemu targnięciu się Siesławina na Oszmianę. Tymczasem zaś wojska rosyjskie rozłożyły się obozowiskami i czatami po całej okolicy, ześrodkowawszy główne siły pod Nowosiadami, wioską tuż w pobliżu Oszmiany.

Zastał tedy Napoleon całą załogę pod bronią, a na rynku, pomimo głębokiej już nocy i ostrego mrozu, stojące trzy szwadrony ułanów, dowodzonych przez Ignacego Stokowskiego.

Gdy pierwsze oszołomienie, na widok cesarza, minęło i gdy dowiedziano się, że w drodze jest do Wilna, rzucono się błagać, aby przynajmniej noc spędził w Oszmianie, nie narażając się na podróż nocną, gdyż droga niepewna, a wzdłuż jej gęsto rozsiane biwaki rosyjskie. Napoleon namyślał się krótko. Zdecydował się jechać natychmiast dalej. Kazał tylko zmienić konie u powozów, oraz zlużować eskortujących go od Smorgoni strzelców konnych. Karocę cesarską i cały korowód podróżny otoczyli ułani polscy Stokowskiego, z nim samym na czele, a w liczbie 266 koni. Wąsowicz w pamiętniku swoim notuje, że cesarz kazał na koziej swej karety siąść generałowi Lefebvre-Desnouettes i mamelukowi Roustanowi, że sam podał im parę pistoletów i rzekł:

— W razie niebezpieczeństwa, nie dajcie mię wziąć do niewoli. Zabijcie mię! *Tuez-moi!*

— Wasza Cesarska Mość — podchwycił Wąsowicz — pozwoli mi powtórzyć jej słowa polskim ułanom?

— I owszem!

Gdy zaś Wąsowicz przetłómaczył na głos ułanom słowa cesarskie, rumor stał się wśród nich



GAJDZIEWICZE, typowa „kolonka” (osada) szlachycko-wojcjanina, w pobliżu traktu Napoleońskiego w okolicy Żupran.

nieopisany i huknęły dokęła zapewnienia, że dadzą sobie porębać co do nogi, a nikogo do cesarza nie dopuszczą.

I wśród okrzyków *Vive l'Empereur!* korowód ruszył.

Napoleon wiedział, co czyni, nie usłuchawszy zakłinań szefa załogi oszmiańskiej, aby zaniechał dalszej podróży. Liczył na osłonę nocy i na obywatelną mroź. Noc, aczkolwiek nielitościwie mroźna, była ciemna. Trzy karety, przodujące im sanie i eskorta przemykały się traktem — niepostrzeżone. Wśród głębokiej ciszy slychać było dalekie głosy nieprzyjacielskich forpoczty i pikiet; błyskały tu i owdzie rozsiane wzdłuż drogi ognie hiwakowe, ale mróz przykuwał czaty nieprzyjacielskie do ognia roznieconych w polu; kozacy spali na posterunkach, zawinawszy się w kożuchy, obywatelnieni, zeszywniali. Raz po raz ktoś z eskorty cesarskiej zwał się z konia, jak kłoda; marzły konie same. Dwaj energiczni ludzie, których cesarz na kozły karety swej posadził, z pistoletami w rękę, czuwali przytomnie, nie spuszcza- jąc z oka okolicy...



ST. BR. DUNIN-WĄSOWICZ.

## Trakt Napoleoński.

Trakt z Oszmiany ku Wilnu biegnie początkowo po względnej równinie, tedy jechano możliwie szybko, nie przebywszy jednak więcej niż wiorst dwadzieścia w ciągu godzin czterech do pięciu. Zaczynało już mieć się na brzask, gdy dojechano do Równego Pola. Niebezpieczeństwo było szczęśliwie przebyte. W Równym Polu stał



OSZMIANA DZISIEJSZA OD STRONY ZACHODNIEJ.

już oddział gwardyi konnej włoskiej pod dowództwem księcia Rocca-Romano i Włosi zmienili ulanów polskich, towarzyszących cesarzowi. Zmienili? Nie. Chyba: zajęli ich miejsce. Z 266 bowiem ulanów, eskortujących korowód cesarski, pozostało tylko—36-ciu. Ci... wytrzymali. Reszta—zwalila się z koni po drodze, rażona mrozem nie do zniesienia.

Gdy cesarz, popasawszy jak najkrócej, odjechał, Stokowski z niepełną czterdziestką ulanów swoich ruszył z ogolonego z furazów i żywności Równego Pola, w bok z traktu, do Taboryszek, znacznej majątności Wazyńskich, i tam zażył dobrze zasłużonego popasu. W szafach bibliotecznych w Taboryszkach walają się do dziś dnia całe pęki „bon'ów”, wystawianych przez Stokowskiego na furaz i żywność... Francji niespłacone weksle!

Akurat zaś, gdy Napoleon docierał o świcie do Miednik na 25 wiorście od Oszmiany, Siesławin przypuścił do Oszmiany ponowny szturm i zajął ją. Gdyby wówczas znajdował się tam nocujący w mieście Napoleon, nasuwa się mimowoli przypuszczenie, że, pomimo wzięcia udziału ulanów Stokowskiego w bronieniu cesarza, kto wie, czy nie byłaby się stała Oszmiana widownią faktu historycznego nieobliczalnej doniosłości: wzięcia w niewolę lub usmiercenia Napoleona...

Tymczasem jednak był już Napoleon w Miednikach i przyjmował raport przybyłego tam z Wilna na spotkanie cesarza ministra spraw zagranicznych, księcia Bassano. Świt czerwieni osypane śniegiem zwaliska miednickiego zamku, wznoszące się opodal traktu.

Za cesarzem wlokła się, usypując drogi trupami, paląc wszystko po drodze, szeroko rozsypana, szarpana na flankach przez kozaków, rozprzężona ostatecznie armia. Pobita, wycieńczona, smagana mrozami, dobywająca się resztkami sił z zasp i zamieci śnieżnych.

□□

A przeciągała ta nawałnica, śladami wielkiego swego dowódcy, po względnie świeżych jeszcze, innych wojennych operacji terenie.

Dawno-ż to było? Niedawno, lat temu zaledwie osmnaście manewrowały wszak między Równym Polem a Solami wojska kościuszkowskie, odparte od Mińska przez oddziały Benningsena, Diejewa, Kröringa i Cycyanowa, i cofające się z wolna na Wilno. W Równym Polu stał obozem general Jasiński i w Równym Polu otrzymał wiadomość o nominowaniu przez Kościuskę szefem sił zbrojnych na Litwie Wielhorskiego. Ambitnego, młodego generała ubodła ta nominacja, jak wyrządzony mu osobiście despekt. Porwał się tedy świetnym hazardem pokazać Kościusce, jak błędnie postąpił, przenosząc Wielhorskiego nad niego, Jasińskiego, co przecie powstanie na Litwie wywołał i dotąd tak chlubił się mu przewodził. Związa tedy obóz w Równym Polu i rusza traktem ku Oszmianie, którą zajmąwszy o świcie 26-go czerwca (1794), niezwłocznie głębokimi lasami podżuprańskimi posuwa się ku Solom i atakuje leżące tam obozem wojsko Benningsena i Zubowa. Walczono

zjadł pięć godzin dokola miasteczka spalonego i zajętego nareszcie przez kosynierów. W chwili jednak osiągnięcia tej przewagi zjawily się na placu boju rezerwy rosyjskie i Jasiński, nie mogąc prowadzić w ogień raz jeszcze wojska, co, przeszedłszy bez wypoczynku pięć mil, biło się przez pięć godzin, a dobę całą nie w ustach nie miało, dał rozkaz cofnięcia się.

zjadł pięć godzin dokola miasteczka spalonego i zajętego nareszcie przez kosynierów. W chwili jednak osiągnięcia tej przewagi zjawily się na placu boju rezerwy rosyjskie i Jasiński, nie mogąc prowadzić w ogień raz jeszcze wojska, co, przeszedłszy bez wypoczynku pięć mil, biło się przez pięć godzin, a dobę całą nie w ustach nie miało, dał rozkaz cofnięcia się.



KFZYŻ U DROGI OPODAL TRAKTU NAPOLEOŃSKIEGO.

Odwrót z pod Sól ku Wilnu nastąpił już jednak nie na Oszmianę, tylko t. zw. traktem Czarnym, na Szumsk.

Równopol, względnie nieduża posiadłość ziemska, był i za czasów kościuszkowskich i za napoleońskich czasów w posiadaniu Zienkowiczów, tych samych, z których gniazda wyszedł wspomniany przy innej okoliczności waleczny organizator insurekcji oszmiańskiej roku 1830-go, Józef Zienkowicz. Dwór w Równym Polu, w którym podczas zmieniania się eskorty popasał chwil zaledwie kilka Napoleon, a w którym rychło potem popasał nieco dłużej wice-król włoski, ks. Beauharnais, leży opodal traktu i żadną miarą nie zasługiwał na nazwę „château”, jaką go pamiętnikarze honorują. Od Zienkowiczów nabył Równopol w r. 1819 Jędrzej Śniadecki, znakomity profesor uniwersytetu wileńskiego, o którym nie tylko powiedziano, że władał wzorowym językiem literackim polskim, ale że był jednym z największych fizjologów pierwszej połowy XIX stulecia. W Śniadeckich też ręku był Równopol do czasów niemal ostatnich.

W Murowanej Oszmianie—dziś średniego obszaru majątność—po której też przeciągał równolegle traktu odwrót napoleoński, spoczywają w ziemi praojców prochy Krzysztofa Dorohostajskiego, męża wytwornej w naukach biegłości, słynnego magnata i wojownika, autora „Hippiki”, co w założonej przez ojca w Murowanej Oszmianie drukarni wiele dzieł znamienitych wytłoczyć kazał, aby wspomnieć tylko o „Cenzurze” Salinarusa z 1615 roku. Wzorem przodków, był marszałek wielki litewski gorliwym kalwinem. Dziś w Murowanej Oszmianie nie szukać śladu ani zboru, ani dworu, ani grobowca jednego z nielicznych dawnych Polaków, jaśniejących blaskiem kultury naprawdę—europejskiej.

□□

Cesarza Napoleona straciliśmy z oczu w Miednikach.

Krótko tam hawil: dał tylko wytchnąć zmordowanym koniom u karocy, z której wysiadł Caulaincourt, ustępując miejsca swemu księciu Bassano. Nie zajeżdżano na popas ani do dworu, ani do przestronnej karczmy miednickiej, jednej z najokazalszych swojego czasu po drodze z Oszmiany do Wilna. Cały korowód cesarski zatrzymał się na trakcie i zazywał krótkiego wytchnienia o staj kilka od zwalisk zamku, zwróconych ku traktowi północną linią swego potężnego czworoboku.

Miał tedy ów epizod miednicki wielkiej tragedii napoleońskiej godne dekoracyjne tło.

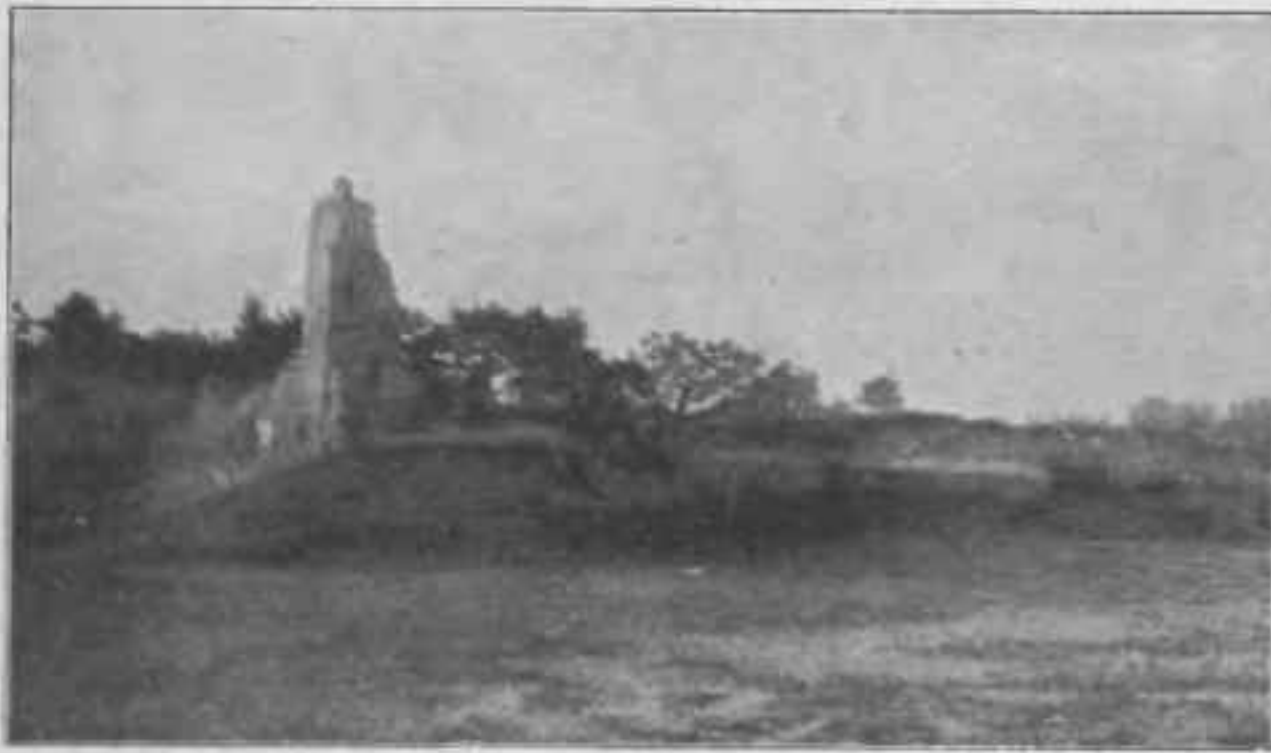
Za kulisy dla spotkania się Napoleona ze swym ministrem spraw zagranicznych na trakcie wileńskim służyły mury—autentyczne—miednickiego zamku! Ułożył się—ze zrzędzenia losu—istny „żywy obraz” historyczny. Ujrzy go kiedyś niewątpliwie w wyobraźni swej malarz-artyista i w wiernej rekonstrukcji pokaże nam tę scenę w w malarskiej płastyki odtworzeniu dosadniej i sugestyjniej, niżym uczynić to potrafił ja—z piórem w ręku.

I niech się śpieszy malarz-artyista, pragnący własnymi jeszcze oczyma oglądać zabytki i szczątki czasów dawno przeminionych, *vestigia temporis acti*, gdyż wspaniałe, pamiątkowe zwaliska zamku miednickiego rozsypują się już w gruzy, nie strzeżone, nie podtrzymywane przez nikogo...

Troszczy się o nie chyba tylko—Żyd, dzierżawiący ogród fruktowy, rosnący w obrębie murów, gdyż czworobok ich służy dziś za... ogrodzenie miednickiemu sadowi. Pokruszona haszta narozna sterczy jeszcze wyniosłe; gnieźdzą się na jej wierzchołku z roku na rok bociany; czas zachował jeszcze gotycki rysunek połowy jednego okna i architektonicznych szczegółów nieco.

(DGN)

CZESŁAW JANKOWSKI.



ZWALISKA ZAMKU W MIEDNIKACH.



STARY LAMUS LITEWSKI, PAMIĘTAJĄCY CZASY NAPOLEOŃSKIE.

wieczny niepokój i przepaściste swoje trudne mazenia.

Upaja się nią zatrauwa na przyprawę powszedniego chleba.

Z jej wonią wciąga śmiertelne smutki, zabójcze rozkosze.

Nie pogodzi się z nią nigdy, nigdy się jej nie wyrzeknie.

„Kwiaty dziecięco-niewinne, kwiaty dziewczę-radosne, kwiaty bogate, dziwaczne, nieznaczące, jaskrawe...

W mirtowy wianek stroi się oblubienica, na grobach składają nieśmiertelniki...

Orchidea...

Wśród piękności kwiatów—ona—jedyna nie piękna. Jest straszliwa, okrutna. W niej to żyje i z niej wyziera niepojęta tajemnica piękna.

Wydarł ją chciwy człowiek z łona natury, z dzikiej puszczy. Zniszczyły w niej pierwotną prawdę, nadały jej nową duszę drażniące pragnienie i niespokojna ręka człowieka.

Wyrasta, jak czyjaś odpowiedź na najtajniejsze urojenia duszy. Jak uśmiech chimery — jak złudzenie rozkoszy — jak głód życia — jak urok śmierci jest Orchidea.

CZESŁAW JANKOWSKI:

## Trakt Napoleoński.

Ogromna fosa, otaczająca niegdyś zamek miednicki, porosła dziś lasem olch, osin, czeremch, topoli, krzaków rozmaitych—i dokoła murów, z trzech stron, utworzyła się przecudna promenada, gdzie roje ptactwa trzepocą się latem i świergocą, deszcz słoneczny rozpyła się po zroszonej zieleni, a poprzez liście tu i owdzie prześwieca malownicza czerwień ruin...

Opiwają legendy, że lat temu niewiedzieć ile jakieś plemię olbrzymów czy nawet bogów budowało jednocześnie zamek w Miednikach i zamek w Krewie i że przerzucalo sobie kielnie i młoty z Krewa do Miednik i z Miednik do Krewa.

Faktem zaś jest, że mistrz krzyżacki, Konrad Zolner von Rothenstein, zapuściwszy się najazdem potężnym w r. 1385 aż pod Oszmianę, tu, w Miednikach, stał przez czas dłuższy wielkim obozem i wyprawiał świetne turnieje oraz uczty. Potem zaś w r. 1402 raz jeszcze gościli w Miednikach Krzyżacy pod dowództwem wielkiego komtura, Wilhelma z Helfensteinu. Na zamku w Miednikach przebywali latem synowie króla Kazimierza Jagiellończyka z nauczycielem swym, Długoszem; w Miednikach umierał święty króle-

lewicz Kazimierz i z Miednik do katedry wileńskiej przewieziono relikwie zwłok jego w 1636 roku. Rezydencyonalna atoli świetność Miednik nie trwała długo. Zamek opustoszał już w pierwszej połowie XVI wieku i stawał się powoli coraz bardziej malowniczą—ruiną.

Gdyby wzrok ludzki takie złościł rysy na martwych przedmiotach, jak nieraz wpija się w ludzką duszę, tedy na zwaliskach miednickiego zamku zostawiłyby ślad swój — oczy Napoleona. Lecz oczy te uderzyły tylko przelotnym spojrzeniem w prastare mury, pamiętające Krzyżaków, prześliznęły się po nich, może... zdumione i—wzrok cesarski już biegł naprzód, naprzód przed siebie, ku Wilnu, i dalej tam, ku Paryżowi.

Prastare zamczysko puściło mimo siebie—i tego potentata. I znów zapadło, głuche i samotne, w dumę swoich dum. Co mu do chwili nawet takich odwiedzin! Widziało przecie przepływające po ziemi tej—stulecia.

Napoleon kazał księciu Bassano zająć miejsce obok siebie w karecie i jechał dalej, słuchając jego relacji o zawikłanej sytuacji politycznej. Książę Bassano rezydował bez przerwy od lipca w Wilnie, otoczony istnym sztabem dyplomatycznych pełnomocników aliantów cesarskich, i komunikował się nieustannie—z całą Europą. Cenna tedy była jego relacja dla cesarza i nie musiała dłużyć się obu drogą z Miednik do Wilna.

Mijano zaś niebawem (z Miednik do Wilna wiorst niepełnych trzydzieści) byłe dobra jednego z najzasłużeńszych obywateli kraju, Rukojnie, dziedzictwo i miejsce zgonu referendarza litewskiego, Pawła Ksawerego Brzostowskiego; mijano Niemieżę, znaną całej Litwie z osad swoich prastarych tatarskich, upamiętnioną pobytem króla Jana Kazimierza i umową, zawartą przezeń w Niemieży z carem Aleksym Michajłowiczem; mijano wzniesiony na wzgórzu pod Niemieżą pomnik nad zwłokami niewiedzieć dlaczego tu właśnie pochowanego generała Diejewa, co za czasów insurekcji kościuszkowskiej padł trupem podczas szturmowania przez Rosyan Ostrejbramy wileńskiej... Wpierw zaś jeszcze nieco kareta, wioząca Napoleona i jego ministra, zsuwała się w sporą kotlinę między dwoma dość stromymi górami, mijając—o wiorstę niespełna od traktu—miejscowość, mającą w lat mniej niż pięćdziesiąt potem zasłynąć—nie tylko na Litwę całą. Miejscowość ta zowie się: Borejkwowszczyzna.

Gdy osiadał tam „na dzierzawie” Syrokomla, marny folwark tyszkiewiczowski miał trzy włoki obszaru. Pola piaszczyste nie widywały nigdy urodzaju. Urodzaj był tylko zawsze—w tece poety.

Nie mój to domek, nie moja gleba,  
Choć chleb mi rodzi przez lato;  
Moim jest tylko ten błękit nieba,  
Co się unosi nad chatą...

Tutaj dni moje spokojnie płyną,  
Mam chleba, soli, kwiatów do syta,  
I dobry człowiek czasem gościną  
Do mnie zawita.

W cichej ustroni żyćby niezgorzej  
Wśród gęstych dębów, jabłoni, gruszy—  
Och, gdyby tylko jeden dar Boży:  
Spokojność duszy!

A wespół z Syrokomlą gospodarzył jako „doradca agronomiczny”—Wincenty Korotyński, ówczesny tłumacz Bérangera i autor zbioru poezji lirycznych „Czem chata bogata”. Rezydencję miał w budynku, gdzie mieściła się i „czeladnia” i „piekarnia”, w izdebce narożnej z cudnym z okna widokiem na zielony wielki parów, na faliste wzgórze, na uroczy swojski krajobraz. U okna rosło rozłożyste drzewo, zastępujące w lecie firanki a zimą osłonę od wiatru.

I u traktu napoleońskiego, u zbroczonego krwią szlaku rozbitej wojennej imprezy, zakwitwały cicho i ulatywały w świat, pełne poezji i przedziwnej serdeczności, nieśmiertelne odtąd „gawędy” wioskowego lirnika—o „Starych wrotach”, o „Kęsie chleba”, nie zliczyć wszystkich!... A w izbie ładajkiej poety przesiadywali, lub w sadzie u stołu z prostego kamienia młyńskiego gwarzyli poobiednią, lipcową porą, lub wychodzili na przechadzkę—na „napoleoński” trakt poblizki goście najmiłsi a stali Borejkwowszczyzny, bracia poety po piórze, sercu i umyśle: Odyniec i Plug, Eustachy Tyszkiewicz i Stanisław Moniuszko, Horajn, Chodźko...

Bo puścić tylko w tej stronie traktem napoleońskim wyobraźnię nieco lotniejszą, a nie pójdzie szlakiem tym karoca cesarska: luzem i samotna. Pomkną przodem i krzyżackie płaszcze i chorągwie pancerne i regimenty liniowe pułkowników kościuszkowskich, zamajaczy świetlana postać królewicza i złotoustego Skargi, co tyle razy z letniej rezydencji swojej w Kamiennym Łogu tedy do Wilna drogę odbywał, a na oddalający się korowód cesarza Francuzów patrzeć będą w zamyśleniu ze wzgórze pod Borejkwowszczyzną: Syrokomla i Moniuszko...

□□

Dotarłszy szczęśliwie do Wilna, Napoleon do miasta nie wjeżdżał. Nie leżało w jego widokach, aby wieść o jego odjeździe do Francji uderzyła piorunem w miasto, gdzie rozbita armia spodziewała się znaleźć popasowe schronienie i „gorące” przyjęcie. Okrążył tedy Wilno, nie domyślając się nawet co zaszło, i, spożywszy na przedmieściu śniadanie, pomknął dalej przez Kowno, Maryampol, Łomżę do Warszawy.

Tymczasem ku Wilnu nadciągały bezładnym tłumem... widma zdziesiątkowanych, wynędznia-



tych, zgłodniałych, skostniałych wojsk. Parły się zaś ku miastu, jak ku bezpiecznemu portowi nie tylko wielkim traktem, ale i okolicznymi drogami wszystkimi, w rozsypanie, staczając utarczki z następującą pojedynczo oddziały konnicą rosyjską, z trudem opanowywane komendą „naczelnego wodza”, Murata.

Sam Murat posuwał się naprzód śladami cesarza, ze Smorgon przez Oszmianę i rozbił główną swoją kwaterę w Miednikach. Do Miednik też niebawem ścignęły resztki dywizji Loisona i korpusu Ney'a. Przybył też de Wrede z Bawarczykami od strony Niemenczyna silnie naciskany przez podjazdy Wittgensteina. Puszczając przodem walące ku Wilnu oddziały wojska, całkiem rozprężone, utworzył Murat z niedobitków Loisona, de Wrede'go i Ney'a aryergardę, mającą odwrot armii—osłaniać. Komendę nad tą aryergardą, złożoną z jakich sześciu mniej więcej tysięcy żołnierzy różnej broni, objął Ney i, jak zwykle, spisał się bohatersko.

Podczas gdy do Wilna stłaczało się mrowie oszalałe z głodu i chłodu, szerząc po mieście straszliwą panikę, zasypując ulice i podwórza domów rannymi, pijanymi i trupami, Ney cofał się we względnie porządku, powstrzymując istic nadludźko ataki Czyczagowa. Pod Rukojniami przyszło nawet do zaciętej batalii.

Ale, gdy waleczna ta kohorta „wielkiej armii” dotarła nareszcie sama do upragnionego Wilna, odpływały już z miasta co tchu wojska francuskie; Murat wiódł je na Kowno, jadąc z Berthierem w saniach, podczas gdy konno lub pieszo prowadzili poszczególne oddziały książę Beauharnais, Davout, Lefebvre, Mortier, Bessières. Był dzień dziesiąty grudnia. O wiorst kilka od Wilna wparto się we wzgórze Ponarskie—zamiast je obejść—i na tych fatalnych wzgórzach nastąpiła katastrofa, jedna z najsromotniejszych w całej kampanii. Wozy i sanie, wiozące bagaż, amunicję a przede wszystkim „skarby” armii, nie mogły po gołoleździ wspiąć się na wzgórze i zatarasowały względnie nieduży wąwóz. Wszystkie oddziały cofającego się wojska stłoczyły się bezładną masą w wąwóz...

Tymczasem Ney z aryergardą, stopniała już do 3000 ludzi, ścigany przez wojska rosyjskie, zdążył tylko przejść przez miasto, do którego, goniąc przed sobą Ney'a, wpadli kozacy Płatowa, zajmując Wilno, biorąc w niewolę 14.000 rannych i bezwładnych Francuzów, co ruszyć się z miasta nie mogli, zagarniając 140 francuskich armat. Ney rzucił się na trakt kowieński i dogonił armię pod Ponarami, właśnie w chwili, gdy dziać się tam zaczęły rzeczy, urągające wszelkiemu opisowi. Kufry i skrzynie, zawierające kasę armii, powypadały z san i powozek i porozbijaly się. Popłynęło z nich szerokimi strumieniami złoto. Żołnierze porzucili broń i jeli—rabować. Żaden rozkaz nie miał mocy nad nimi. Nie powstrzymał ich nawet huk dział Ney'a, odstrzelającego się po opuszczeniu Wilna i nacieranego przez oddziały rosyjskie, wysłane za nim w pogoń z miasta. Huk tylko kanonady wywołał pod Ponarami nieopisany popłoch. Nie przerwał jednak rabunku. Gdy nadbiegł Ney, gdy posypały się kule, gdy doskoczyli do Ponar kozacy,—rabowano jeszcze. W popłochu Powiadają, że kozacy, zaniechawszy klucza i rąbania Francuzów, też rzucili się zgarbiać napoleondory. I tak walczone i rabowane, dopóki — jak notuje Ségur—nie znikło... dziewięć milionów franków w srebrze i złocie.

Nie stracił przytomności tylko Ney. Wsiadł na karki kozaków i po zaciętej walce zmusił ich do odwrotu. Wówczas dopiero zdolał Murat wywikłać armię z Ponarskiego wąwozu, wyprowadzić ją na wzgórze i puścić dalej traktem na Kowno. Ney zaś, sprawiwszy oddział swój w szyk bojowy, znowu stanął w aryergardzie i pociągnął za Muratem, osłaniając odwrot aż do Jewja. Od Wiazmy do Jewja trwał na najfatalniejszym posterunku: w aryergardzie,

wytrzymującej cały impet pościgu. I wytrwał! Z honorem i bohaterstwem, co po wieczne czasy opromieniać będą Ney'a imię!).

Taki epizod ostatni odwrotu „wielkiej armii” rozegrał się na trakcie napoleońskim.

We dwa dni potem przybył do zajętego przez wojska rosyjskie Wilna feldmarszałek książę Kutuzow, wódz naczelnny całej ówczesnej siły zbrojnej Rosji. Przybywał — pisze Szylder—do kraju dobrze sobie znanego, bo przed laty zajmował stanowisko litewskiego gubernatora wojennego. Ludność Wilna przyjęła wodza-tryumfatora entuzjastycznie; posypały się ody i przemówienia powitalne. Na scenie w teatrze zajaśniał transparentowy wizerunek Kutuzowa z nadpisem u góry: „Zbawcy ojczyzny”.

Napoleon był—daleko.

K O N I E C .

!) Marbot w pamiętnikach swoich tłumaczy, że sam Ney kazał rozbić skrzynie, zawierające kasę, aby rozchwytali ją żołnierze francuscy, gdyż była niemal pewność, że kasa dostanie się w ręce Rosjan. I—pochwała to zarządzenie Ney'a, któremu jednak inni historycy wiary nie dają.



OSZMIANA. DZISIEJSZA ULICA ŻUPRAŃSKA.

## Dokoła Wawelu.

„Pochodowi” Wacława Szymanowskiego drogę na Wawel zagroził stos drukowanego papieru. Dawno już może pochopne i niepochopne do polemiki pióra nie stanęły tak licznie i tak ochoczo do apelu, jak tym razem, dawno impet walki w zakresie spraw, dotyczących sztuki, nie był tak ostry.

Poświęcono całe szpalty krytyce i całe szpalty protestom. Społeczeństwo rozdarło się na dwa wrocie sobie obozy, z których jeden kruszy kopię za pochodem, drugi—podnosi przeciw niemu już nie miecz, ale ciężki młot, którego uderzeniami pragnąłby rozbić i zmiążdżyć dzieło.

Nie możemy tu przytoczyć wszystkich głosów „za” i wszystkich głosów „przeciw”. Wystarczy, jeżeli zatrzymamy się chwilę nad istotą walki. Rdzeniem swoim tkwi ona w nieklamany pietyzmie dla Wawelu. Obie walczące strony oparły się o historyczne wzgórze wawelskie i obie bronią jego dostojęstwa—tylko—każda na swój sposób, ze swojego punktu widzenia. Pp. Lutomski, Stecki, Gliński i Piątkowski uważają, że Wawel nie tylko może, ale powinien przyjąć w obręb starych swoich murów królewską wizję Szymanowskiego; pp. zaś Pieńkowski, Tadeusz Miciński, prof. Korzon, Winc. Trojanowski, Antoni Austen i in. są wręcz przeciwnego zdania i właśnie w imię Wawelu, w imię jego wyjątkowego stanowiska w duszy narodu, uważają za rzecz zgola niedopuszczalną wprowadzenie „Pochodu” na Wawel.

Z tego punktu wzięta polemika nie może mieć przeciwników. Owezem, wobec doniosłości projektu i niepowszedniości samego dzieła, wymiana zdań była tu pożądana, jak pożądana jest zawsze krytyka przedmiotowa i poważna. Zadaniem jej jest wskazać braki pomysłu, wytknąć niedoskonałość dzieła, rozpatrzyć poszczególne jego wartości, zważyć na szali bezstronnego sądu głosy zachwytu i głosy zarzutów. Przeciw takiej krytyce nie może się oświadczyć żaden artysta, który z dziełem swoim występuje publicznie i tem samym pracę swoją poddaje ocenie publicznej. Taka krytyka jest dla niego pożądana, bo sędzią swoim nikt sam nie jest, nawet w dziedzinie wartości tak indywidualnych, jak wszelkie wartości estetyczne.

Z uwagą też i pilnie śledziliśmy przebieg całej polemiki, starając się iść szlakiem dobrej woli i wyluskiwać prawdę na krzyżujących się rozdrożach sprzecznych myśli, przekonań i sądów. Nauczylismy się przytem i dowiedzieli niejednego. Ale nauka ta zaprawna była, niestety, goryczą

Oto było w tej ostrej polemice kilka momentów takich, przeciw którym najgorzej należy zaprotestować. Były w niej mianowicie nie tylko dozwolone utarczki o prawdę, ale i niedozwolone napaści na osobę i godność artysty, który zgrzeszył tem jedynie, iż pragnął stworzyć dzieło wielkie i stworzył je wedle swego rozumienia i wedle pojemności swojej duszy.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER:

### Z VII SERJI.

I.

#### „WYTKNIĘTYCH DRÓG!”

„Wytkniętych dróg!” „Wytkniętych dróg!”  
Lecz kto i gdzie je ma?  
Jakież gdzie żywie pewny bóg?  
Przewodnia gwiazda trwa?

Zycie to jeden męt i wir—  
objąłem jego treść:  
śmierć tylko z niem zawiera mir,  
jedyna pewna wieść.

Niech trwa wieczysty świata ruch,  
wiara, skąd wstaje czyn,  
lecz głupiec żąda, aby duch  
czuł tak, jak czuje gmin!

III.

#### GRANITOWA WIEŻA.

Wieża z granitu nam przeszkadza,  
zastania widok tu i tam — —  
niech więc się zejdzie tłum i władza,  
niech ją usunie z drogi nam.

Podkopać chcieli fundamenty,  
założyć minę, zatlić lont,  
ażebym, rozsadzona w szczęty,  
precz usunęła im się stąd!

Lecz do niczego trud nie zmierza,  
nie skruszy fundamentów grom—  
bez fundamentu stała wieża,  
bo to był rodnej skały ziom.